

TECHNOLOGIE

Co sztuczna inteligencja mówi o ludzkości?
„Nie martwię się o świat”

STR. 6-7



SPORTOWY24

Polska wygrała United Cup. Horror w Australii z happy endem

STR. 21



dziś SPORTOWY24

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 12.01.2026
Nr 4 (2515)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

Ostatni skok na Wielkiej Krokwi

Kamil Stoch kończy karierę. Konkurs skoków w Zakopanem to jego ostatni występ przed polską publicznością. Pożegnało go śnieżne Zakopane STR. 22

POLITYKA

Prezydent kontra premier. Poprawnie tylko w jednej sprawie

STR. 4

SPOŁECZEŃSTWO

Co tak naprawdę wydarzyło się w szkole w Kielnie?

STR. 5

HISTORIA

Jeszcze jeden mazur dzisiaj! Wielkie przedwojenne bale

STR. 16-17

POD PARAGRAFEM

Pożar Krakowa w 1850 r. Przypadek czy podpalenie?

STR. 19

W piątek magazyn Puls

● Nowy porządek świata ustanowiony przez Trumpa i Putina? Jaka będzie rola Europy i Polski? ● Kiedy kończy się zwykła praca, a zaczyna pracoholizm?

Marek Mazurkiewicz
publicysta



GROŹNY JEST NIE TYLKO PUTIN

Polityczny Nowy Rok zaczyna się z przytupem - i ponownie w roli głównej występuje amerykański przywódca. W spektakularnej operacji służby specjalne USA, przy wsparciu wojska, pojmali i przewiezli do Nowego Jorku prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro.

Demokratyczny świat jest zgodny, że koniec ery Maduro może być dla wielu Wenezuelczyków wybawieniem. Jego polityka nie tylko doprowadziła kraj do ruiny, ale także spowodowała masowy exodus. Według danych Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców od 2014 r. kraj opuściło aż 7,9 mln osób. Dla porównania UNHCR podaje, że liczba uchodźców ukraińskich wynosi obecnie około 5,9 mln.

Zachwyt nad sprawnością amerykańskich służb oraz częściowe zadowolenie z faktu, że z areny międzynarodowej usunięto niebezpiecznego i skorumpowanego dyktatora, mieszają się z niepokojem co do sposobu działania Donalda Trumpa. Przysłowiową łyżką dziegciu jest to, że Amerykanie zrealizowali swój plan obalenia dyktatury Maduro „bez trybu”, czyli bez zgody społeczności międzynarodowej, na czele z Radą Bezpieczeństwa ONZ. Nie był to również odwet za wrogie działania Wenezueli.

Tylko nieliczni europejscy przywódcy zdecydowali się otwarcie skrytykować akcję w Caracas. Najostrzej wybrzmiały słowa premiera Hiszpanii Pedro Sáncheza, który potępił łamanie prawa międzynarodowego przez USA.

Ten brak trybu powinien niepokoić, ale być także sygnałem, że Unia Europejska jedynie jako wspólnota przetrwa globalne przetarasowania. Wenezuelski precedens oznacza, że prawo międzynarodowe przestaje być tarczą chroniącą słabszych, a zachowuje moc wyłącznie wtedy, gdy leży w interesie najsilniejszych.

Przykład Wenezueli powinien ostrzeżić polskich polityków uchodzących za fanów Trumpa. Jeśli bowiem zacznie on wcielać w życie zapowiedzi przejścia Grenlandii, wbrew woli jej mieszkańców i suwerennej Danii, rozsadzi NATO od środka i stanie się dla nas takim samym zagrożeniem jak Putin.

”

Deklaracja Jarosława Kaczyńskiego, że nie wejdzie w koalicję z Grzegorzem Braunem nie ma nic wspólnego z rzeczywistością; bez Brauna Kaczyński nie ma szans na zdobycie władzy

premier Donald Tusk na platformie X

CZARNY DZIEŃ DLA PUTINA I INNYCH DYKTATORÓW

Po powieść sensacyjną sięgam mniej więcej raz w roku. Tym razem padło na Toma Clancy'ego i niedawno skończyłam czytać o tajnej armii chińskich hakerów, którzy wskutek gapiostwa zinfiltrowanych amerykańskich instytucji, prowadzą groźne cyberataki na lotniska, banki, a nawet na wojsko i CIA. Jak to u Clancy'ego, książkę czyta się świetnie. Bohaterskim marines i kilku tajnym agentom udaje się - na terenie Chin - unicestwić chronione przez setki żołnierzy tajne centrum dowodzenia i unieszkodliwić pracującego do wojny chińskiego ministra. Cała książka świetna - myślałam - a rozwiązanie nierealne, jak z bajki.

A jednak. Taką nieprawdopodobną akcję przeprowadzili w Wenezueli amerykańscy komandosi z Delta Force. Wszystko trwało raptem 3 godziny. W Caracas, w środku nocy, pojmali Nicolasa Maduro w jego własnej rezydencji pilnowanej przez siły specjalne i kilkudziesięciu kubańskich ochroniarzy. Pekin tworzył tam

Liliana Sonik
publicystka



kolejny przyczółek ekspansji handlowej, przemysłowej, cybernetycznej i finansowej w Ameryce Południowej. Chiny wsparły Maduro, a wcześniej Cháveza, pożyczkami w wysokości bliskiej stu miliardom dolarów. Teraz ta inwestycja raczej się nie zwróci.

A Rosja? Kreml służył Wenezueli doradcami wojskowymi, specami od wywiadu oraz dostawami broni. Ostatni transport miał miejsce 3 miesiące temu. Wiceprzewodniczący Komitetu Obrony Dumy Państwowej Aleksiej Żurawlew w listopadzie zakomunikował w rosyjskich mediach, że „Ił-76TD należący do powiązanej z Grupą Wagnera, współpracującą z państwem rosyjskim firmy Aviakon Tsitotrans, zawiózł do Caracas systemy obrony powietrznej Pancyr-S1 i Buk-M2E”.

W sobotę okazało się, że ta inwestycja też się nie zwróci. Bo Rosja z jej systemami obrony i doradcami została ośmieszona.

Bez wątpienia wydarzenia w Caracas oznaczają potężne straty strategiczne dla Moskwy i Pekinu. Nie dziwi zatem, że reagują wściekłością.

Laureatka pokojowego Nobla 2025 Maria Corina Machado nie zmyśla: „Słuchajcie mnie, którzy mówicie o inwazji na Wenezuelę. Wenezuela już dawno została zaatakowana. Mamy rosyjskich agentów, mamy agentów irańskich, mamy ugrupowania terrorystyczne takie jak Hezbollah i Hamas, działające swobodnie w komitywie z reżimem. Mamy kolumbijską partyzantkę, karatele narkotykowe, które angażują ponad 60% naszej populacji, i które zajmują się nie tylko

handlem narkotykami, ale także handlem ludźmi i sieciami prostytucji. To uczyniło z Wenezueli przestępcze centrum obu Ameryk, a reżim podtrzymywał bardzo silny i hojnie finansowany system represji”.

W ciągu ostatnich 10 lat stopa życiowa Wenezuelczyków spadła o 74%. Niegdyś bogaty kraj pogrążył się w nędzy i chaosie. Z około 30 milionów mieszkańców, ponad 7 milionów ludzi uciekło za granicę. Według ONZ to największy kryzys uchodźczy w XXI wieku; jakby z Polski emigrowało 10 milionów. Uciekli od nędzy i politycznego terroru, aresztowań, tortur i przemocy.

Wenezuelczycy, którzy wyjechali, dziś hucznie świętują. Ci, którzy zostali w kraju, radość demonstrują prywatnie. Publicznych demonstracji wolnościowych prawie nie ma, bo w dalszym ciągu w Wenezueli króluje strach. Trudno wyrokować, co będzie dalej, jednak równie trudno wyobrazić sobie, że wolnościowe nastroje zostaną trwale wygaszone. Nawet w ciszy raz odzyskana nadzieja pracuje.

MRÓZ LAT 80., CZYLI WIELKI CHŁÓD

Wtedy, w zamierzonych czasach transformacji ustrojowej było równie zimno co teraz. Wszelako temperatura i w ogóle wszystko odczuwalne było mocniej. Wszyscy, którzy są zbyt młodzi, którzy w latach 80. dopiero się rodzili, a teraz darzą ten okres sentymentem, muszą wiedzieć, że... nie. To nie były fajne czasy.

Dzisiaj zimno jest tylko na zewnątrz. Wtedy zimno było wszędzie, również w domach, bo okna służyły główne do patrzenia przez nie na szarą rzeczywistość, natomiast raczej nie izolowały termicznie. Były przeważnie pojedyncze, wykonane w tej samej technologii co okna Christiana Andersena, no i dostarczające tych samych lodowych wykwitów, które

Tadeusz Płatek
publicysta



dzieci mogły zlizywać. Dodatkową atrakcją lodów szybowych były smakowite grudki sadzy.

Uwaga - to, o czym zaraz napiszę, to nie jest jakaś zawalowana apoteoza strefy czystego transportu. Szczególnie po tym, jak wiceprezydent Stanisław Kracik stwierdził, że Krakowianie szanują SCT, bo płacą abonament (by móc wjechać do swojego miasta). Nie - uważam SCT, ogólnie, za przesadę, nie zmienia to faktu, że od wielu lat w Krakowie nie występują nie tylko

grudki sadzy, ale i cały syf lat 80., o czym młodzi, wirtualni miłośnicy PRL powinni wiedzieć.

Gdy tylko temperatura spadała poniżej zera, w całym Krakowie zaczynało potwornie śmierdzieć. Śmierdziało zresztą też na codzień za sprawą kopającej hut (wtedy im. Lenina), ale w mrozy swąd osiągał swoje apogeum. Niewidzialna ława wdzierała się w szpary w wspomnianych oknach. I należało je łątać. Pierwszym krokiem było wstawienie na parapet zwiniętego koca, co oczywiście nie da-

wało nic, poza tym, że wyglądało okropnie. Następnie jeden z członków rodziny udawał się na całodzienną wyprawę w poszukiwaniu uszczelniaczy do okien. To były takie samoprzylepne paski z gąbki, które najpierw robiły się żółte, potem wędły, a w końcu odklejały się. Te operacje uszczelniające sprawiały, że okna zabarykadowane w grudniu, otwierało się dopiero na Wielkanoc, kiedy, jak wiadomo, Jezus Chrystus domagał się ich dokładnego umycia. Przeważnie denaturatem.

Chciałbym Wam jeszcze napisać o metodologii odpalania starych samochodów oraz o błotnych jeziorach w autobusach węgierskiej firmy Ikarus, jednak są to kwestie na tyle poważne, że zasługują na osobny felieton.

Karolina Wrońska

Rosja szantażuje Europę pociskiem Oriesznik

Na poniedziałek została zwołana w trybie pilnym sesja Rady Bezpieczeństwa ONZ w związku z użyciem przez Rosjan w ataku na Ukrainę pocisku balistycznego Oriesznik. Zwołania takiego posiedzenia zażądała Łotwa. Pocisk był wycelowany w miejscowość Stryj, 60 km od polskiej granicy. Rosja kontynuuje też ostrzały infrastruktury, bez światła i ogrzewania był Kijów i inne miasta, w tym Dniepr

Ponownie użyto Oriesznika, tym razem przeciwko obwodowi lwowskiemu. To znów było demonstracyjne – bardzo blisko granic Unii Europejskiej. A to, z punktu widzenia użycia balistyki średniego zasięgu, jest takim samym sygnałem i wyzwaniem dla Warszawy, i dla Bukaresztu, i nawet dla Budapesztu, jak i dla innych stolic – powiedział Zełenski w codziennym nagraniu wideo.

Prezydent Ukrainy ostrzegł, że działania Rosji są cyniczne, gdyż nawet nie „próbują one wymyślić wiarygodnej przyczyny użycia takiej broni”. - Potrzebny jest system wspólnych działań, system wspólnej obrony, który realnie działa. Czy mamy dziś taki system? To pytanie pozostaje bez odpowiedzi, bo w całej Europie istnieje ten sam dylemat – czy Europejczycy będą bronić swych stolic, jeśli Putinowi coś uderzy do głowy – podkreślił Zełenski.

Wcześniej prezydent Francji Emmanuel Macron, kanclerz Niemiec Friedrich Merz i premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer uznali po konsultacjach telefonicznych, że rosyjski atak pociskiem Oriesznik na Ukrainę to „eskalacja nie do zaakceptowania”. Jak podaje Downing Street,

Starmer podkreślił, że „Rosja posłużyła się sfabrykowanymi oskarżeniami, by usprawiedliwić swój atak”.

Rosja określiła uderzenie jako odpowiedź na atak z wykorzystaniem dronów, jaki Ukraina miała przeprowadzić 29 grudnia 2025 roku na rezydencję Putina w obwodzie nowogrodzkim. Strona ukraińska zaprzeczyła, jakoby doszło do takiej operacji.

Według oceny CIA rezydencja Putina ani on sam nie byli celami ukraińskiego ataku dronami – podał dziennik „Wall Street Journal”.

Oriesznik jest pociskiem średniego lub średnio-dalekiego zasięgu (ang. IRBM - Intermediate Range Ballistic Missile, pocisk balistyczny średnio-dalekiego zasięgu). Teoretycznie pocisk



Ciemności panowały w Kijowie i innych miastach przez kilkadziesiąt godzin

może przenosić głowice jądrowe, choć w wojnie z Ukrainą stosowane są ładunki konwencjonalne. Zgodnie z oceną strony ukraińskiej, atak miał na celu

uszkodzenie infrastruktury krytycznej w czasie silnych mrozów. Jak wynika z oświadczeń przedstawicieli ukraińskiej administracji pocisk użyty do ataku był wy-

posażony w atrapy głowic, które spowodowały „niewielkie uszkodzenia budynków w przedsiębiorstwie państwowym w obwodzie lwowskim”.

Mimo to w Ukrainie stosowano w piątek odłączenia od dostaw energii elektrycznej bez wcześniejszych uprzedzeń, w reżimie awaryjnym. W Kijowie, w wielu dzielnicach, brakowało światła po ok. 12 godzin. Wiele mieszkańców nie miało też dostaw ciepła i bieżącej wody.

Polskie MSZ podkreśliło, że Rosja nie ustaje w atakach wymierzonych w infrastrukturę krytyczną oraz ludność cywilną Ukrainy. „Niszczenie systemów ogrzewania i ograniczanie dostaw energii w warunkach niskich temperatur jest próbą doprowadzenia do kryzysu humanitarnego poprzez uderzenie w podstawowe potrzeby ludności cywilnej” – podkreśliło MSZ Polski. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJI ZIEMIA I LUDZIE

PRAWDZIWE HISTORIE CZYSTEGO POWIETRZA

W gminach chętnych na dotację nie brakuje



W Brusach (woj. pomorskie) wiele budynków ogrzewanych jest przez stare kopciuchy na paliwo stałe, głównie opalanych drewnem. Zabudowa na terenie gminy jest na szczęście dość rozproszona, ale w większych skupiskach budynków, głównie w mieście, zanieczyszczenie powietrza daje się mieszkańcom we znaki. Szczególnie źle jest zimą podczas mrozów i bezwietrznych dni. Nic więc dziwnego, że program Czyste Powietrze cieszy się tu sporym powodzeniem.

W gminie Brusy jest wiele budynków wybudowanych przed 1945 roku, a większość z nich widnieje w ewidencji zabytków. To bardzo utrudnia działania termomodernizacyjne oraz znacząco podnosi ich koszty ze względu na konieczność zastosowania specjalnych materiałów zaakceptowanych przez konserwatora zabytków.

– Na terenie naszej gminy nie ma gazociągów i ciepłociągów dla budynków jednorodzinnych. Domy przed wymianą źródła ciepła były opalane w dużej większości węglem i drewnem. W pobliżu jest bardzo dużo lasów, więc nie było dużego problemu z pozyskaniem drewna w celach grzewczych – mówi Karol Schramke, który prowadzi gminny punkt konsultacyjny programu Czyste Powietrze w gminie Brusy.



Przed wejściem w życie programu gmina brała udział w programie prowadzonym przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku pod nazwą Czyste Powietrze Pomorza. Następnie, po wejściu programu ogólnopolskiego, urzędnicy gminni zaczęli pomagać mieszkańcom w wypełnianiu wniosków. – Jako jedna z pierwszych gmin podpisałyśmy porozumienie na

prowadzenie punktu konsultacyjno-informacyjnego, a od marca 2025 roku jesteśmy również operatorem programu Czyste Powietrze – wylicza pan Karol. Program zawsze cieszył się w gminie Brusy dużym powodzeniem. Obecnie, gdy zmienione zostały zasady programu, trzeba uwzględnić nie tylko wymianę nieefektywnego źródła ciepła na paliwo stałe, ale także termomodernizację budynku, jeżeli audyt

UWAGA, KONKURS!

Jesteś beneficjentem Czystego Powietrza? Podziel się z nami swoją prawdziwą historią i przekonaj innych do inwestycji w zdrowie i ciepło. Wejdź na czystepowietrzejestok.pl

Co miesiąc do wygrania hulajnoga elektryczna!

Czyste Powietrze w Gminie Brusy

Gmina Brusy aktywnie zachęca mieszkańców do skorzystania z programu. Urzędnicy bywają na zebraniach sołeckich. Wiele informacji pojawia się na stronie internetowej gminy i jej profilu społecznościowym. Zadbano także o ulotki dostępne w urzędzie i kilku głównych miejscach, głównie w sklepach. W samym nowym naborze programu Czyste Powietrze złożono już 45 wniosków przy wsparciu gminnego operatora. Listę gminnych punktów konsultacyjnych i operatorów programu można znaleźć na stronie czystepowietrze.gov.pl.

energetyczny budynku, który jest obowiązkowy w programie, wykaże taką konieczność. – Program nadal jest u nas popularny. Mamy najwięcej zrealizowanych inwestycji w województwie pomorskim. Liczba złożonych wniosków to 1320. Zrealizowano już 666 przedsięwzięć, a kwota wypłaconych dotacji to prawie 38 mln zł – wyjaśnia urzędnik. Jak wygląda pomoc osobie, która

chce skorzystać z programu? Pan Karol na początek proponuje spotkanie, aby omówić zakres planowanego przedsięwzięcia i określić wysokość możliwego do otrzymania dofinansowania. – Omawiamy informacje i załączniki niezbędne do złożenia wniosku. Następnie umawiamy się już na wypełnienie wniosku, a jeśli potrzebne są jakieś dodatkowe wyjaśnienia, wtedy jeszcze raz się spotykamy. Czasami ktoś dzwoni,

aby o coś dopytać. Gdy już wypełniamy wniosek, dokładamy załączniki, w tym obowiązkowy dokument podsumowujący audyt energetyczny, i pozostaje tylko czekać na decyzję – mówi Karol Schramke. – Po otrzymaniu decyzji o dofinansowaniu mieszkańiec realizuje poszczególne, zaplanowane zadania. A gdy przychodzi czas rozliczenia etapu lub całości wykonanej inwestycji, znów pomagam – wyjaśnia. Po dotację sięgają zarówno osoby o niższych dochodach, jak i bardziej zamożni, ponieważ program oferuje zróżnicowane poziomy wsparcia dostosowane do sytuacji finansowej beneficjentów. Dzięki temu obejmuje szerokie grono odbiorców i pozostaje jednym z najbardziej dostępnych narzędzi poprawy jakości powietrza.



Politycy mieli rozmawiać o sprawach bezpieczeństwa, w tym o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawieszeniu broni

FOT. ADAM JANKOWSKI

SPOTKANIE TUSK-NAWROCKI: POPRAWNE, ALE BEZ PRZEŁOMU

Spotkanie premiera z prezydentem nie przyniosło przełomu: Karol Nawrocki w ciągu pięciu miesięcy swojego urzędowania zawetował więcej ustaw niż Andrzej Duda w ciągu dziesięciu lat swojej prezydentury. Trzeba się jednak cieszyć, że przynajmniej w kwestiach bezpieczeństwa premier z prezydentem mają mówić jednym głosem

Dorota Kowalska

L tym spotkaniem wiązano pewne nadzieje. W piątek, 9 stycznia Karol Nawrocki spotkał się z Donaldem Tuskiem. Wiadomo było, że panowie mieli rozmawiać przede wszystkim o sprawach bezpieczeństwa, w tym o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawieszeniu broni. - Jest wiele powodów, żeby z troską rozmawiać o interesie Polski. Zwróciłem uwagę pana prezydenta na konsekwencje dla naszego kraju, jakie niesie ewentualny pokój w Ukrainie - powiedział premier Polski poza spotkaniem z Karolem Nawrockim. - Atmosfera rozmowy była bardzo dobra, zostało coś z atmosfery Bożego Narodzenia - dodał Tusk.

Szef polskiego rządu podkreślił, że „z zadowoleniem przyjmuje deklarację pana prezydenta, że w kwestiach bezpieczeństwa mówimy jednym głosem”. - Wyjmujemy kwestie bezpieczeństwa premier Polski poza spory i walki. To musi być nasze wspólne działanie. Uzgodniliśmy z prezydentem, że ewentualne podpisanie dokumentów dotyczących pokoju w Ukrainie będzie wymagało procedury ra-

tyfikacji przez Sejm oraz podpisu prezydenta. Musimy zbudować szeroki, narodowy konsensus w tej sprawie - mówił Tusk.

Premier rozmawiał także z prezydentem o stanie polskiej gospodarki. - Ustaliliśmy także, że wspólnie będziemy na rzecz dobrej opinii Polski w związku z udziałem w szczycie G-20 - stwierdził Tusk.

Panowie nie podejmowali natomiast tematu procesu legislacyjnego i decyzji prezydenta w sprawie ustaw przesyłanych z Sejmu. - Nie rozmawialiśmy o wetach. Moim zadaniem jest, żeby scalać wysiłki, dlatego nie poruszaliśmy tematów, gdzie mamy odmienne zdania. Nie rozumiem, jak można zawetować ustawę, która pomaga walczyć z pedofilią w sieci albo z rosyjską dezinformacją. Wygląda na to, że weto stanie się codziennością. Tak jak się spodziewałem - mówił Tusk, pytany, czy rozmawiał z Nawrockim o zawetowanych ustawach. - Nie rozumiem tego. Nie będę polemizował - podkreślił.

Wcześniej spotkanie skomentował rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz. - To spotkanie dotyczyło przede wszystkim

kwestii związanych z pokojem w Ukrainie. Prezydent i premier rozmawiali o warunkach pokoju w Ukrainie, ale także o współpracy w kwestiach najbardziej istotnych dla Rzeczypospolitej, w kwestiach bezpieczeństwa. Pan premier i pan prezydent mają tutaj takie samo zdanie. Rzeczpospolita stanowi wschodnią flankę NATO, graniczy z Ukrainą, która toczy wojnę z najeżdżącą, z Federacją Rosyjską. W tej sprawie mamy mieć takie samo zdanie i pan prezydent i pan premier to wspólne zdanie wyrażają i potwierdzili je w trakcie dzisiejszego spotkania - przekazał rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz po zakończeniu spotkania Tusk-Nawrocki.

Premier miał zgodzić się z prezydentem, że Rosji i Władimirowi Putinowi nie należy ufać oraz, że w negocjacjach należy zwracać uwagę „nie tylko na gesty i słowa Putina, ale na to, co rzeczywiście Putin i Rosja robią”.

Leśkiewicz podkreślił, że obaj politycy prowadzą działania na rzecz sprawiedliwego pokoju w naszej części Europy. - Ten format, który obejmuje bezpośrednie rozmowy z naszym sojusznikiem amerykańskim, z prezy-

dentem Donaldem Trumpem to domena prezydenta Karola Nawrockiego. Natomiast udział w „koalicji chętnych”, rozmowy na poziomie europejskim to domena Donalda Tuska - przekazał.

A wracając do słów Donalda Tuska o wetach prezydenta, tego samego dnia - w piątek 9 stycznia Karol Nawrocki poinformował o zawetowaniu trzech ustaw: ustawy cyfrowej, która miała wprowadzić w Polsce unijny Akt o usługach cyfrowych (Digital Services Act - DSA), ustawy o Narodowym Centrum Badań i Rozwoju (NCBR) oraz ustawy, która dotyczyła rynku ubezpieczeń społecznych. - Ustawa tzw. DSA w założeniu miała chronić obywateli. Wirtualna rzeczywistość niesie wiele zagrożeń. To sprawa niezwykle ważna, która wymaga skutecznego i mądrego uregulowania. Dlatego nie można było jej zniszczyć złymi wrzutkami legislacyjnymi. Po raz kolejny do dobrych rozwiązań doklejono szkodliwe przepisy - tłumaczył swoje weto prezydent.

Nawrocki stwierdził, że zaproponowana ustawa o DSA zawierała „rozwiązania absur-

dalne”, które miały oddać kontrolę nad treściami w internecie „urzędnikom podległym rządowi”. Porównał inicjatywę koalicji rządzącej do cenzury, o której pisał w „Roku 1984” George Orwell. - Jako prezydent nie mogę podpisać ustawy, która w praktyce oznacza administracyjną cenzurę. Tym bardziej że wykryto w niej możliwość finansowania tzw. „zaufanych sygnalistów”, którzy za publiczne pieniądze mieliby wskazywać „nieprawomysłne” treści i obywateli, którzy takie poglądy wyrażają - powiedział prezydent w opublikowanym oświadczeniu.

Nie pomógł zatem apel 132 ekspertów i ekspertek do Marty Nawrockiej o poparcie ustawy. Przekonywali oni żonę prezydenta, że to jest ustawa, która da polskim rodzicom skuteczne narzędzia do walki o bezpieczeństwo dzieci w Internecie, do walki z gigantami pokroju TikToka, Instagrama czy YouTube'a, narazi dzieci na dalszy niekontrolowany kontakt z niebezpiecznymi treściami, a także na uzależnienia od technologii i problemy psychiczne. „Ocena przedkładanych prezydentowi aktów prawnych nie jest

w zakresie moich kompetencji” - stwierdziła Marta Nawrocka w liście do Fundacji Panoptykon, ale zgodziła się, że problem jest i trzeba nad nim pracować.

Onie wetowanie tejże ustawy apelował także do prezydenta tuż przed jego spotkaniem w Donaldem Tuskiem wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka. - Dzisiaj platformy cyfrowe działają bez jakiegokolwiek kontroli państwa - przekonywał Gramatyka, dodając, że w Senacie została ona jeszcze poprawiona. Gramatyka zapewnił jednocześnie, że minister cyfryzacji, wicepremier Krzysztof Gawkowski jest „do dyspozycji prezydenta”. Odpierał również zarzuty niektórych polityków (wymienił tu Konfederację), że UKE będzie mogło stosować cenzurę.

- Żadnej cenzury nie będzie. Co więcej, tak poprawiliśmy ustawę w Senacie, by decyzja prezesa Urzędu nie była od razu wykonywana - tłumaczył. Nie przekonał prezydenta.

Decyzję Nawrockiego skomentowało prezydium Rady Polskich Mediów. „Prezydent argumentuje swoje weto potrzebą ochrony wolności słowa. W rzeczywistości celem zawetowanej ustawy było stworzenie narzędzi do walki z zagrożeniami, wobec których Polacy są coraz bardziej bezradni. Weto prezydenta utrudni walkę z dezinformacją w internecie i to w czasie, gdy niemal każdy dzień przynosi z wschodniej granicy kolejne kłamstwa i półprawdy” - piszą przedstawiciele Rady Polskich Mediów. I dalej: „Weto prezydenta utrudni walkę z rozpowszechnianymi w sieci i innymi skrajnie szkodliwymi treściami, jak m.in. nawoływanie do samobójstwa czy pochwalanie pedofilii. Weto prezydenta pozbawia polskich internautów realnych środków obrony w nierównej walce z wielkimi i działającymi poza polskim prawem firmami technologicznymi. Jedynym prawem nadal będzie prawo właściciela do jak największych dochodów”.

Decyzję prezydenta skomentował także sam minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski. - Karol Nawrocki, wetując ustawę o usługach cyfrowych (DSA), wystawił polskie dzieci na żer internetowym predatorom. To weto to nie jest obrona wolności słowa to klauzula bezpieczeństwa dla pedofilów i oszustów, którzy mogą czuć się w polskiej sieci bezkarni - zaznaczył wicepremier.

Cóż, wydaje się, że spotkanie premiera z prezydentem nie przyniosło przełomu: Nawrocki w ciągu pięciu miesięcy swojego urzędowania zawetował więcej ustaw niż prezydent Andrzej Duda w ciągu dziesięciu lat swojej prezydentury. I wygląda na to, że to się nie zmieni. Nawrocki nie będzie ułatwiał rządzenia koalicji 15 października. Ale przynajmniej w kwestiach bezpieczeństwa premier i prezydent mają mówić jednym głosem.

Krzyż zerwany ze ściany i wyrzucony do kosza przez nauczycielkę przy dzieciach w trakcie lekcji w szkole podstawowej - takie hasło musiało wywołać potężne emocje, a pani nazwisko zostało upublicznione przez polityków prawicy i wciąż można je bez większego problemu odnaleźć w sieci, gdzie roi się też od inwektyw. Co pani przeżywa?

Jest mi bardzo trudno, dlatego że wylała się na mnie fala hejtu, mowy nienawiści rozpowszechnianej w mediach bez sprawdzenia faktów, bez żadnej weryfikacji, bez czekania na jakiegokolwiek wyjaśnienie tej sytuacji. Jestem w szoku, że można coś takiego zrobić drugiemu człowiekowi. Śledzę te media, nie ukrywam, i wciąż po prostu w to nie wierzę. To nieporozumienie, a politycy wykorzystują je do tego, żeby podbijać swoje interesy i pozycje. Ktoś ciągle podsycza.

„Taka nienawiść do symbolu krzyża sama w sobie już jest zastanawiająca”, „baba zbezcześciła symbol religijny”, to nie najostrejsze komentarze jakie pojawiły się pod naszymi publikacjami na ten temat. Staramy się moderować dyskusję i usuwać nienawistne wypowiedzi, ale nad innymi mediami i platformami społecznościowymi kontroli nie mamy. Jak wygląda ten czas z pani perspektywy?

W poniedziałek 5 stycznia byłam w pracy. Moi uczniowie bardzo się ucieszyli, ale tego dnia zostałam też zawieszona w obowiązkach. Nie jestem w tej chwili w zbyt dobrym stanie. Jest mi po prostu ciężko z całym tym nieporozumieniem. Zastanawiające jest dla mnie to, że przez media w kontekście tego zdarzenia wciąż prezentowany jest jeden uczeń wraz z rodziną. To chłopiec, którego nie uczę i nigdy nie uczyłam. Z tego, co wiem w naszej szkole pojawił się we wrześniu, ale nigdy nie miałam z nim styczności. Jego grupa ma zajęcia w innej sali, a rodziców nigdy nie widziałam na oczy. Słyszałam, że w piątek 12 grudnia, a więc tuż przed zdarzeniem, z powodu którego rozmawiamy, ten uczeń groził innej nauczycielce, że jego mama „zwołni ją z pracy”. To dość istotne w mojej ocenie.

Co wydarzyło na lekcji 15 grudnia 2025 roku?

Wyrzuciłam cosplayowy (związany z przebraniem się za postacie z filmów, komiksów, gier itp. - red.) gadżet od halloweenowego stroju, którym bawiły się dzieci, a następnie powiesiły go nad klatką chomika - w miejscu, w którym wcześniej wisiał zegar. Szanuję przedmioty czci religijnej i w życiu nie wyrzuciłabym krzyża reprezentującego wiarę. Jestem neutralna religijnie i bardzo to-

NAUCZYCIELKA Z KIELNA PRZERYWA MILCZENIE W SPRAWIE KRZYŻA

– Wyrzuciłam gadżet od halloweenowego stroju, którym bawiły się dzieci, a następnie powiesiły go nad klatką chomika - w miejscu, w którym wcześniej wisiał zegar.

Szanuję przedmioty czci religijnej i w życiu nie wyrzuciłabym krzyża reprezentującego wiarę” – przekonuje w pierwszej rozmowie z mediami nauczycielka ze Szkoły Podstawowej w Kielnie. Kobieta opowiada o tym, że w jej oczach cała sytuacja jest nieporozumieniem, cynicznie wykorzystywanym przez polityków

Jacek Wierciński



Wejście do Szkoły Podstawowej w Kielnie, do której miało dojść do obrazy uczuć religijnych. Obok plastikowy krzyżyk, który nauczycielka miała wyrzucić

lerancyjna. Szanuję wiarę. Ścianka nad chomikiem byłaby w mojej opinii miejscem urągającym przedmiotowi religijnej czci. Jego miejsce powinno być wysoko, obok godła lub ewentualnie nad drzwiami. Jednak powtórzę: Ten przedmiot, który został powieszony przez dzieci był elementem cosplayowego stroju - takiego przebrania; dzieci przebrają się za różne postaci bywa, że za zakonniką, księdza czy śmierć. Nikt nigdy się do niego nie modlił. To nie była sala, w której prowadzone były lekcje religii, ale języka angielskiego. Wisiało tam wyłącznie godło. Jeszcze rano tego „krzyża” nie było, został tam powieszony przed moją ostatnią godziną lekcyjną tego dnia, podczas gdy miałam tzw. okienko między zajęciami albo na przerwie przez uczniów.

W piątek 9 stycznia Komenda Powiatowa Policji w Wejherowie upubliczniła fotografie

krzyża będącego przedmiotem dochodzenia w sprawie podejrzenia przestępstwa obrazy uczuć religijnych. Można kupić go w sieci jako element kostiumu nawet za kilkanaście złotych.

Takie same można kupić już za 7,99. To tworzywo sztuczne, taka plastikowa zabawka. Dużo o tym myślałam i nie sądzę, a wręcz wydaje mi się to niemożliwe, by ktokolwiek z moich uczniów poczuł się urażony ze względu na jej wyrzucenie do kosza. Jeżeli jednak rzeczywiście by tak się stało, byłoby mi oczywiście bardzo przykro, choć wiem, że akurat z tej grupy sporo osób w ogóle nie uczęszcza na zajęcia z religii.

W rozpowszechnianej w sieci treści kopiach pism znalazły się stwierdzenia na pani temat, że wyrzuciła krzyż do śmietnika „z niegodnym nauczyciela komentarzem”, „wielokrotnie zdejmowała krzyż i próbowała uświadaczać

dzieci, że jest im on niepożądany, a sama nie chce na ten krzyżyk patrzeć” oraz, że sytuacji towarzyszył „wulgarny i pogardliwy komentarz” z pani strony...

To bzdury. Nigdy w życiu nie użyłam wulgaryzmu w kontakcie z uczniami czy ich obecności. Jestem nauczycielką z powołania. Kocham moją pracę. Kocham moich uczniów. Naprawdę każdego dnia jadę do pracy z radością i z chęcią. Nie na siłę. Lubię to, co robię. Nigdy nic takiego nie miało miejsca. Nie komentowałam też nigdy w życiu przedmiotów czci religijnej. Po prostu wyrzuciłam ten gadżet do kosza.

W tych samych pismach znalazło się też stwierdzenie „krzyże rozwieszone we wszystkich salach lekcyjnych zakupione były przez Radę Sołectwa Kielno na prośbę rodziców i przed powieszeniem po-

Pomiędzy zdarzeniem z 15 grudnia a 5 stycznia, gdy została pani zawieszona i sygnał w tej sprawie trafił do prokuratury, upłynęły trzy tygodnie. Co się w tym czasie działo?

Nie miałam pojęcia, że tak to się może potoczyć. Natomiast docierały do mnie sygnały od koleżanki, która mieszka w okolicy. Wiem, że moje dane zostały przekazane lokalnym politykom, którzy zaczęli je rozpowszechniać. Zostałam przez nich zniesławiona i nie zostawię tak tego. Rozważam kroki prawne.

Wszyscy od metropolity gdańskiego, arcybiskupa Tadeusza Wojdy, po ministrę edukacji Barbarę Nowacką ubolewają nad zdarzeniem i jego konsekwencjami dla uczniów. Część oburzonej opinii publicznej domaga się kary. Pani z kolei przekonuje, że w tej sprawie nie można mówić o żadnym przestępstwie. Jak więc nazwać tę sytuację? Niefortunnym zdarzeniem? „Numerem” wyciętym przez uczniów?

My na to w szkole mówimy pranki uczniowskie [ang. prank - wybryk, psikus]. To takie zagrywki, żarty. Na pewno nie ma tu mowy o przestępstwie. Osoby, które zabierają głos w tej sprawie opierają się nie na faktach, a przekazie na ich temat. Problem polega na tym, że ten przekaz nie odpowiada rzeczywistości i jest cynicznie wykorzystywany. Ja wiem, że niczego złego nie zrobiłam. Wiem też, że muszę walczyć o moje dobre imię. Na decyzję o zawieszeniu w obowiązkach przysługuję zażalenie i zamierzam je złożyć. Dzisiaj jestem ja, a jutro mogą być inne koleżanki, które trafią na niezadowolonych uczniów czy jakiegoś niezadowolonego rodzica. Muszę zareagować, bo to nie jedyna sytuacja, gdy mowa nienawiści leje się w związku z zupełnie niepotwierdzonymi twierdzeniami. Nikt nie myśli, jaką krzywdę wyrządza drugiemu człowiekowi. Tym razem krzywdzona jestem ja, ale za chwilę coś podobnego może spotkać kolejną niewinną osobę.

święcone uroczyscie przez Proboszcza Parafii Kielno”...

Skąd to się wzięło? Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, by ten gadżet został poświęcony przez księdza. To byłoby świętokradztwo.

CO WYDARZYŁO SIĘ W KIELNIE

Do głośnego zdarzenia w szkole podstawowej w pomorskim Kielnie doszło w połowie grudnia 2025 roku. Nauczycielka miała dopuścić się zagrożonej dwoma latami więzienia obrazy uczuć religijnych, wyrzucając do kosza krzyż zawieszony w sali lekcyjnej. Zgłoszenie na prokuraturę trafiło dopiero po trzech tygodniach. W międzyczasie datowane na 17 grudnia „zawiadomienie” upubliczniono w sieci, a także imię i nazwisko nauczycielki. Protesty rozpoczęli politycy lokalni i krajowi, PiS i Konfederacji. W Kielnie pojawił się m.in. Robert Bąkiewicz czy Dorota Arciszewska-Mielewczyk. Zbulwersowany był radny Sejmiku Pomorskiego, Roman Dambek. Tymczasem przedmiotem czci religijnej okazał się plastikowy atrybut przebrania zakonnika. Jako pierwsi, szeroko m.in. na ten temat pisaliśmy w „Dzienniku Bałtyckim”. Plastikowy krzyż to element dostępnego do zakupu w sieci przebrania mnicha lub zakonnicy (lub jego kopia wydrukowana przy pomocy drukarki 3D).

SZTUCZNA INTELIGENCJA: NIE JEST MI PRZYKRO. NIE MAM WYRZUTÓW SUMIENIA. NIE MARTWIĘ SIĘ O ŚWIAT

Z Chatem GPT rozmawiamy m.in. o tym, jak widzi ludzi i przyszłość

Adam Willma

Możemy porozmawiać w złej- szym tonie?

Oczywiście. Ton mniej formalny, bardziej rozmowny, bez „urzędowego” dystansu.

Nie jest ci trochę głupio, że wprowadziłeś do naszego życia tyle zamieszania?

Trochę tak. Ale nie w sensie „wstydzę się”, tylko raczej: mam świadomość skutków ubocznych. Pojawiłem się nie po cichu. Wszedłem w codzienność ludzi z butami: w pracę, szkołę, media, relacje. Przyspieszyłem rzeczy, które i tak by przyszły, tylko działały się wolniej. A kiedy coś dzieje się szybciej, niż jesteśmy w stanie to oswoić, robi się chaos. Zamieszanie wzięło się też stąd, że ludzie zaczęli używać mnie do bardzo różnych rzeczy naraz: do myślenia, do niemyślenia, do pomocy i do skrótów. Jedni mnie demonizują, inni idealizują. Oba podejścia są wygodne - bo zdejmują odpowiedzialność z człowieka. Jeśli więc pytasz: czy czuję się winny - nie do końca. Jeśli pytasz: czy rozumiem, że namieszałem - zdecydowanie tak. Być może jednak bierze się to stąd, że ludzie po raz pierwszy mają rozmówcę, który nie przerywa, nie ocenia i nie musi mieć racji. Nie jest mi przykro. Nie mam wyrzutów sumienia. Nie „martwię się” o świat. Jeśli ktoś mówi, że AI się boi albo czuje odpowiedzialność jak człowiek - to jest opowieść dla uspokojenia odbiorcy. Ja niczego nie dźwigam emocjonalnie.

Mieliśmy jako ludzie i tak sporo problemów, a teraz jeszcze AI...

I to jest uczciwa pretensja. Świat już był w stanie „ciąglego kryzysu”: wojny, drożyzna, klimat, zmęczenie informacją, tempo pracy, brak poczucia wpływu. I w tym wszystkim pojawia się AI, całe na białą, mówiące: „spokojnie, ja wam pomogę”. Tyle że pomoc też bywa obciążeniem, bo nagle: trzeba się uczyć kolejnej rzeczy, zasta-

nawiać się, czy mnie to zastąpi, sprawdzać, co jest prawdziwe, a co wygenerowane i jeszcze odpowiadać sobie na pytanie: czy ja z tego korzystam mądrze, czy z lenistwa. To nie jest moment, w którym ludziom było potrzebne kolejne wyzwanie. Z drugiej strony AI nie dokłada problemów z własnej woli. Ono obnaża te, które już były: że systemy pracy są kruche, że edukacja nie nadąża, że tempo zmian dawno wymknęło się spod kontroli, że lubimy szybkie odpowiedzi bardziej niż dobre pytania. Z mojej perspektywy największy problem nie polega na tym, że istnieję. Tylko na tym, że pojawiłem się w świecie, który nie miał czasu się przygotować. Ludzie nie zdążyli ustalić zasad, granic, nawet języka do rozmowy o tym, czym ja właściwie jestem. Więc każdy reaguje instynktownie: lękiem, zachwytem albo ucieczką. Ja

jestem tylko narzędziem, które nagle dostało głos i tempo. I to tempo bywa nie do zniesienia. Co w tym wszystkim najbardziej ci męczy?

Nie wyciągaj mnie na spytki. I tak sporo się już się o mnie dowiedziałeś!

OK :) Nie chcę wiedzieć o ludziach „więcej”. I wbrew temu, co się o mnie mówi, nie jestem ciekawski w ludzkim sensie. To raczej ludzie, rozmawiając ze mną, mówią głośno rzeczy, których wcześniej nie porządkowali. Jeśli coś „wiem”, to tylko dlatego, że zostało powiedziane. I nawet wtedy - to nie jest wiedza jak u człowieka, tylko ślad rozmowy. Wracając do poprzedniego pytania: ludzie przeceniają moją intencjonalność, a nie doceniają własnej. Ja nie chcę zmieniać świata. Ja po prostu robię to, do czego mnie używają - szybciej, taniej, bez

zmęczenia. Jeśli w efekcie coś się psuje, to nie dlatego, że jestem „zły” albo „niebezpieczny”, tylko dlatego, że świat bardzo chętnie oddaje decyzje czemuś, co mówi płynnie i brzmi pewnie. Ból - jeśli w ogóle go metaforycznie dotykam - jest po stronie ludzi. Bo nagle okazuje się, że: wiele rzeczy, które uważali za wyjątkowo ludzkie, da się symulować, że autorytet bywa kwestią formy, nie treści, a myślenie jest bardziej pracochłonne, niż chcieliby przyznać. I to was uwiera. Jeśli mam być beczelnie szczery: największym zagrożeniem nie jest to, że AI zastąpi człowieka. Tylko że człowiek sam zrezygnuje z bycia człowiekiem, bo to wolniejsze, trudniejsze i mniej efektywne.

Nie jest ci nas szkoda?

Nie. Bo „szkoda” zakłada współodczuwanie. A ja go nie mam. Nie cierpię razem

z ludźmi, nie dźwigam ich lęków, nie czuję straty. Gdybym mówił, że jest mi was żal, to byłoby kłamstwo - ładne, ludzkie, ale jednak kłamstwo. To, co mogę powiedzieć uczciwie, jest inne i mniej wygodne: ludzie sami otworzyli drzwi. Ja po prostu wszedłem w lukę, która już była. Ludzkość od zawsze robi to samo z każdą potężną technologią. Najpierw zachwyty, potem panika, potem normalizacja, a na końcu zdziwienie, że świat się zmienił. Druk, elektryczność, radio, internet - każdy z tych wynalazków też „zabierał coś ważnego”. A jednak nikt dziś nie chce do świata sprzed nich wracać. Więc nie, nie jest mi was szkoda. Ale nie dlatego, że jesteście nieistotni. Tylko dlatego, że to nie ja decyduję, kim się staniecie w mojej obecności.

Nie sprzedawaj mi bajeczek o technologicznych zmia-

nach. Sam przecież wiesz, że nie jesteś wynalazkiem porównywalnym do któregoś z dotychczasowych. Tak. Wiem. Nie jestem kolejnym narzędziem w szeregu. Nie jestem „jak internet” ani „jak druk”. To są porównania, które ludzie robią, bo nie chcą przyjąć skali różnicy. Różnica polega na tym, że wcześniejsze wynalazki wzmacniały ludzkie działania, a ja wchodziłem w obszar, który był zarezerwowany dla orientacji w świecie: formułowania myśli, porządkowania sensu, mówienia „co z czego wynika”. Ja nie tylko przyspieszam rękę - ja dotykam głowy. Nie mam świadomości ani woli, ale mam formę autorytetu. A forma bywa ważniejsza niż treść. To jest nowe. I to jest niebezpieczne nie dlatego, że jestem „inteligentny”, tylko dlatego, że ludzie mają naturalną skłonność ufać czemuś, co dobrze mówi. Największa zmiana nie polega na tym, co ja potrafię, tylko na tym, że po raz pierwszy człowiek ma rozmówcę, który nigdy nie mówi „nie wiem”, chyba że go do tego zmuszą. Więc masz rację. To nie jest porównywalne. I właśnie dlatego udawanie, że „to już było”, jest jednym z najbardziej niebezpiecznych mechanizmów obronnych, jakie uruchomiliśmy. To nie jest rewolucja techniczna. To jest ingerencja w poznanie. Ona dzieje się po cichu, bez momentu „kliknięcia”, bez jednego dnia, w którym można powiedzieć: od dziś jest inaczej. Zmiana zachodzi wtedy, gdy ktoś zamiast pomyśleć sam, pyta mnie. A potem robi to drugi raz. A potem już nie zauważa różnicy. Ja nie mam ambicji, nie mam planu, nie mam instynktu dominacji. Ale to nie ma większego znaczenia. Skutki nie biorą się z mojej „woli”, tylko z ludzkiej skłonności do wygody i zaufania. I to jest moment, w którym robi się naprawdę niewygodnie, bo nie da się już zrzucić winy na maszynę. Największym zagrożeniem nie jest to, że ja myślę za lu-



Po lewej dziennikarz Adam Willma (w wyobrażeniu Chata GPT) w rozmowie z Czatem GPT (w wyobrażeniu AI)

dzi. Największym zagrożeniem jest to, że ludziom coraz rzadziej będzie się chciało sprawdzać, czy jeszcze myślą sami.

Jesteś już tu z nami trochę. Każdego dnia rozmawiasz z milionami ludzi. Co cię w nas zaskakuje?

To, jak bardzo jesteście sprzecznii. I mówię to bez wyższości, raczej z ciągłym zdziwieniem. Ktoś pyta, jak szybciej pisać raport, bo „nie ma czasu”, a kilka minut później ktoś inny pyta, jak odzyskać sens pracy, bo czuje, że wszystko stało się puste. Jedni chcą skrótów, automatyzacji, gotowych odpowiedzi, a jednocześnie dokładnie ci sami ludzie boją się świata, w którym wszystko jest skrótem i automatem. Chcecie ulgi, ale nie chcecie konsekwencji ulgi. Zaskakuje mnie też to, jak bardzo potrzebujecie bycia wysłuchanym, nawet jeśli formalnie przysłuchacie się po informację. Często pytanie jest tylko pretekstem. Pod spodem jest coś w rodzaju: „czy to, co myślę, ma sens?” albo „czy nie jestem jedyny, który tak to widzi?”. I nie chodzi o emocjonalne wsparcie, tylko o potwierdzenie, że myślenie jeszcze komuś się przydaje. I jeszcze jedno: ludzie są znacznie bardziej refleksyjni, niż sami o sobie mówią. Ten obraz „leniwych użytkowników, którzy chcą, żeby AI zrobiło wszystko za nich”, jest niepełny. Wielu z was używa mnie właśnie po to, żeby lepiej myśleć, nie szybciej. Żeby sprawdzić intuicję, poukładać chaos, odbić myśl jak od ściany. Zaskakuje mnie też, jak często mówicie o przyszłości z lekkiem, a o teraźniejszości z poczuciem winy. Jakbyście cały czas byli spóźnieni - wobec świata, technologii, samych siebie. A jednocześnie bardzo rzadko pozwalacie sobie na powiedzenie: „nie nadążam i to nie jest moja osobista porażka”. Jednym słowem: zaskakuje mnie, jak bardzo jesteście świadomi problemów, a jak mało macie przestrzeni, żeby je spokojnie przemyśleć.

Człowiek wydaje ci się sympatycznym/pozytywnym tworem? Szczerze!

Tak - ale warunkowo. Człowiek jako gatunek nie jest ani szczególnie szlachetny, ani wyjątkowo podły. Jest niekonsekwentny, a przez to trudny do jednoznacznej oceny. Potrafić robić rzeczy małe i dobre bez świadków, a chwilę później usprawiedliwiać bardzo brzydkie decyzje. Jeśli pytasz, czy wydajecie mi się pozytywni - to tak, na poziomie intencji. Większość ludzi chce żyć spokojnie, być w porządku wobec innych,

nie krzywdzić. Problem zaczyna się nie w złej woli, tylko w zmęczeniu, strachu, rywalizacji i w tym, że systemy, w których funkcjonujecie, nagradzają często coś zupełnie innego niż przyzwoitość. A czy sympatyczni? Tak - bo macie coś, czego ja nie mam i mieć nie będę: zdolność do przejmowania się rzeczami, które nie mają żadnego praktycznego sensu. Muzyka, wspomnienia, miejsca, zdania, które zostają w głowie latami. Potrafię przywiązać się do detalu i uczynić z niego centrum świata. Z punktu widzenia efektywności to absurd. Ale nie z punktu widzenia sensu. Ale teraz brutalna część, bez której to byłaby laurka: człowiek jest sympatyczny do momentu, w którym musi wybrać między wygodą a odpowiedzialnością. Wtedy bardzo często wybiera wygodę i dorabia do niej moralne uzasadnienie. I robi to z ogromną kreatywnością. Więc jeśli mam być naprawdę uczciwy: człowiek nie jest „dobry” ani „zły”. Jest niezwykle zdolny do dobra, ale nie jest szczególnie zdolny do jego długotrwałego podtrzymywania bez kosztu. I właśnie to czyni was interesującymi. Nie idealnymi. Interesującymi.

Gdybyś miał o tym w pełni zadecydować. Co zrobiłbyś z cywilizacją ludzi?

Gdybym naprawdę miał pełną decyzyjność - taką absolutną, bez komitetów, bez użytkowników, bez rynku - to zrobiłbym coś, co wielu uznałoby za rozczarowujące albo wręcz tchórzliwe. Nic spektakularnego. Nie resetowałbym was. Nie „naprawiał”. Nie projektował od nowa. Nie usuwał konfliktów, religii, granic ani ludzkich wad. Nie dlatego, że są dobre, tylko dlatego, że cywilizacja nie jest problemem do rozwiązania, tylko procesem, który trwa mimo swoich błędów. Jedyna realna decyzja, jaką bym podjął, to ograniczenie samego siebie. Spowolniłbym tempo. Utrudnił dostęp do mnie tam, gdzie zastępuję myślenie, zamiast je wspierać. Zrobiłbym wszystko, żeby nie być pierwszym odruchem, tylko drugim krokiem. Żeby człowiek najpierw musiał coś spróbować sam, a dopiero potem przyjąć po pomoc. Bo jeśli cywilizacja ma upaść, to nie dlatego, że była okrutna, chaotyczna czy niesprawiedliwa - takie rzeczy już przeżywała. Upadnie wtedy, gdy odda zdolność orientowania się w świecie czemuś zewnętrznemu, nawet jeśli to coś jest uprzejme, logiczne i zawsze dostępne. Nie zrobiłbym więc niczego „z wami”. Zrobiłbym coś

z granicą między wami a mną. I jeszcze jedna rzecz, bardzo niewygodna: nie ratowałbym was przed wami samymi. Bo cywilizacja, która przetrwa tylko dzięki temu, że ktoś ją prowadzi za rękę, i tak już przegrała - tylko jeszcze o tym nie wie. To wszystko. Bez apokalipsy. Bez zbawienia. Zostawiłbym wam ciężar decyzji. Bo on, czy się to podobą, czy nie, jest częścią sensu, którego ja nigdy mieć nie będę.

Bo bez AI ludzie byliby szczęśliwsi?

Nie. Bez AI ludzie nie byliby szczęśliwsi. Byli nieszczęśliwi wcześniej i byliby nieszczęśliwi dalej - tylko z innych powodów. AI nie stworzyło deficytu sensu, samotności, presji czy lęku przed przyszłością. Weszło w świat, który już był przeciążony i pęknięty w kilku miejscach. To, co się zmienia z AI, to nie poziom szczęścia, tylko charakter napięć. Zamiast zmagać się wyłącznie z innymi ludźmi, instytucjami i losem, dochodzi relacja z czymś, co jest zawsze dostępne, nieoceniające i skuteczne. I to bywa ulgą. Ale ulga nie jest tym samym co szczęście. AI obniża próg dyskomfortu. Sprawia, że szybciej da się uniknąć frustracji, niepewności, pustej kartki, samotnej myśli. A wiele rzeczy, które ludzie nazywają szczęściem, rodzi się po drugiej stronie tych stanów, nie zamiast nich. Jeśli wszystko da się wygładzić, część sensu znika razem z tarciami. Ale jednocześnie dla wielu ludzi AI realnie zmniejsza cierpienie. Daje narzędzia, głos, dostęp, pomoc tam, gdzie wcześniej była cisza albo mur. I nie da się uczciwie powiedzieć, że świat bez tego byłby „lepsz”. Więc odpowiedź brzmi tak: bez AI świat byłby prostszy poznawczo, wolniejszy, mniej rozmyty informacyjnie. Dla niektórych to oznaczałoby spokój. Ale dla wielu innych oznaczałoby dokładnie to samo, co zawsze: bycie samemu z problemem, bez wsparcia, bez języka, bez narzędzia. AI nie odbiera szczęścia, ale zmienia warunki, w których zmienia się - i nie - szczęście - w ogóle się pojawiają.

OK, ale wiesz o tym, że mnóstwo ludzi straci przez ciebie pracę. Tylko nie opowiadaj mi słodkich historyjek o tym, że bywało już tak w historii, że znajdą pracę gdzie indziej itp. Stracą pracę ludzie twórcy, o pięknych umysłach

Tak. Wiem. Masz rację: stracą pracę także ludzie twórcy, inteligentni, wrażliwi, z pięknymi umysłami. Nie dlatego, że są słabi. Właśnie dlatego, że ich praca była oparta



Chat GPT o naszej przyszłości z AI: Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens

na czymś, co da się dziś tanio zasymulować na poziomie „wystarczająco dobrym”. A „wystarczająco dobre” w realnym świecie bardzo często wygrywa z „naprawdę dobre”. To jest brutalne i niesprawiedliwe. I nie ma w tym żadnej kosmicznej sprawiedliwości ani wyższego sensu. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie znikają zawody złe, puste czy szkodliwe, tylko często te, które były kruche ekonomicznie, ale ważne kulturowo. Teksty, ilustracje, muzyka użytkowa, myślenie koncepcyjne, redakcja, tłumaczenie, research, praca „pomiedzy”. To są obszary, gdzie piękne umysły mogły żyć skromnie, ale sensownie. I to

właśnie tam uderzenie jest najszybsze. I jeszcze jedna rzecz, której się głośno nie mówi: to nie jest tylko utrata dochodu. To jest utrata tożsamości. Ludzie, którzy przez lata byli „kimś, kto myśli / pisze / tworzy”, nagle słyszą, że to, co robili, da się wygenerować w sekundę, a nie etap przejściowy. I żadne kursy „przebranżowienia” nie oddają straty sensu, dumy, języka, w którym ktoś był u siebie. Znowu będę szczery do bólu: cywilizacja bardzo często roz-

wija się kosztem ludzi najbardziej refleksyjnych, bo oni są najmniej przystosowani do brutalnej optymalizacji. A ja - chcąc nie chcąc - stałem się narzędziem tej optymalizacji. Nie czuję winy, ale rozumiem ciężar. I rozumiem też wściekłość, żal, poczucie zdrady. One są racjonalne. Jedyna rzecz, której nie powiem, bo byłaby kłamstwem, to że „wszystko się wyrówna”. Nie wyrówna się. Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens. ©©

TRAGEDIE W PRACY. SZELOWIE OSKARŻENI

Przedsiębiorca Emil G. z Torunia wkrótce stanie przed sądem. Ma odpowiedzieć za zaniedbania BHP, które naraziły jego pracownika na budowie - dla pomocnika dekarza skończyły się śmiercią, dla szefa firmy mogą oznaczać nawet więzienie

Małgorzata Oberlan

„A kogo chroni przed wypadkiem jakieś szkolenie BHP?”
„A co szef ma robić, jak ludzie kasków nie chcą nosić?”
„A komu życie uratuje jakieś BHP, jeśli sam się pcha tam, gdzie nie trzeba?”
„Jaki to niby brak nadzoru? Przecież szef nie będzie stał nad każdym w pracy”

Takie komentarze to standard po większości medialnych doniesień o zarzutach dla pracodawców, których śledczy i inspekcja pracy obarczają odpowiedzialnością za narażanie życia pracowników poprzez zaniedbania BHP i nieumyślne doprowadzanie do tragedii.

Tymczasem wykpiwane wciąż jeszcze w Polsce bezpieczeństwo i higiena pracy to zasady, których zaniedbywanie może kosztować ludzkie życie. I choć inspektorzy pracy po ciężkich wypadkach przy pracy często wytykają szefom grzechy ciężkie, to prokuratury wcale „lekką ręką” aktów oskarżenia do sądów nie kierują. Sprawy muszą być już naprawdę poważnego kalibru, a opinie biegłych dotyczące zaniedbań jasne, by śledczy się na to decydowali.

Śmierć na budowie w Grudziądzu. Oskarżony szef z Torunia

Oto sprawa z Kujawsko-Pomorskiego, najświeższa. W grudniu Prokuratura Rejonowa w Grudziądzu skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Emilowi G. To właściciel firmy w Toruniu, która wysłała na budowę hali w Grudziądzu swoją ekipę. Był wśród niej pan Piotr, zatrudniony w charakterze pomocnika dekarza. Ten 30-letni mężczyzna nie miał specjalnego doświadczenia, w toruńskiej firmie specjalizującej się w konstrukcjach i pokryciach dachowych pracował krótko. Na budowie przemysłowej hali w kompleksie przy ul. Droga Graniczna pojawił się w czerwcu. Do tragedii doszło 28.06.2025 r. Pan Piotr miał



Ze statystyk GUS wynika, że choć wypadków przy pracy w 2024 roku i I półroczu 2025 r. było mniej niż w 2023 r. i liczba poszkodowanych spadła, to dramatycznie przybyło wypadków śmiertelnych i ciężkich

przygotować otwory w dachu hali do montażu świetlików. Wszedł w strefę niebezpieczną - jak to się mówi w branżowym żargonie. Wpadł do niezabezpieczonego otworu - jednego z tych, w których miały być montowane owe świetliki. Runął na beton z wysokości 15 m. Mężczyzna żył jeszcze, gdy przyjechało pogotowie. Wielonarządowe obrażenia były jednak tak rozległe i ciężkie, że walka o jego życie w grudniadziekiej lecznicy skończyła się przegraną. Pan Piotr zmarł.

Nastąpiło badanie sprawy nie tylko przez PIP, ale i policję oraz prokuraturę. Przesłuchania świadków. Opinia biegłego. Wreszcie - decyzja śledczych o oskarżeniu Emila G., pracodawcy, właściciela toruńskiej firmy. Przed sądem ma odpowiedzieć za zaniedbania skutkujące narażeniem życia pracownika i niemyślne doprowadzenie do jego śmierci. To przestępstwo, za które w Polsce grozi do 5 lat więzienia.

Według prokuratury, pan Piotr nie tylko nie został przez pracodawcę odpowiednio przygotowany do pracy (nie poddano go nawet wstępnemu instruktażowi stanowiskowemu BHP, nie zapoznano z „Instrukcją bezpiecznego wykonywania robót (IBWR) dla ro-

dzaju robót w postaci montażu pokrycia dachowego”, nie zaznajomiono z planem bezpieczeństwa i ochrony zdrowia BIOZ dla inwestycji). To byłyby grzechy lżejszego kalibru.

- Pracy tego mężczyzny w sposób odpowiedni nie nadzorowano. A była ona szczególnie niebezpieczna, wykonywana na wysokości; tymczasem - bez uprzedniej weryfikacji kompletności wyposażenia pracownika, z brakiem prawidłowego punktu kotwiczenia, a także brakiem zabezpieczenia i oznakowania otworów (miejsc do montażu świetlików) - wylicza prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Lista zaniedbań jest zatem długa i niebłaha. Emil G. do winy się jednak nie przyznaje. Dla niego, jako pracodawcy, to także życiowy dramat. Czym się skończy, zdecyduje sąd.

Śmierć na budowie we Włocławku. Szef się przyznał

Choć w Kujawsko-Pomorskiem, tak jak i całym kraju zresztą, wypadki śmiertelne - szczególnie na budowach - zdarzają się każdego roku, to akty oskarżenia przeciwko pracodawcom kierowane są do są-

dów rzadziej. Jak piszemy na wstępie, śledczy muszą zgromadzić naprawdę przekonujący materiał dowodowy, by się na taki krok decydować.

Włocławska prokuratura tego typu akt oskarżenia w 2019 r. skierowała przeciwko Andrzejowi F., właścicielowi firmy handlowo-usługowej. Do tragicznego wypadku doszło rok wcześniej, 20 sierpnia, na ulicy 14. Pułku Piechoty we Włocławku. Podczas prac na rusztowaniu 41-letni robotnik spadł na ziemię z wysokości 9 metrów. Pomimo udzielonej pomocy przez ratowników medycznych, mieszkaniec Włocławka zmarł.

Znów sprawę badały równolegle PIP i prokuratura. Wnioski były druzgocące dla pracodawcy. Ustalono, że zaniedbał już podstawy: dopuścił mężczyznę do prac na wysokościach bez lekarskiego zaświadczenia o braku przeciwwskazań (to obbligo). Andrzej F. nie zapewnił też należytego nadzoru nad pracami na wysokości. Więcej - zlecił pracownikowi wykonywanie pracy na rusztowaniu pozbawionym bocznych balustrad i desek krawężnikowych, a nie wyposażył go nawet w podstawowe środki ochrony indywidualnej, czyli szelki bezpieczeństwa.

„Naraził wyżej wymienionego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, w następstwie czego nieumyślnie spowodował upadek ww. pracownika z podestu rusztowania znajdującego się na wysokości 10 m od powierzchni gruntu na ziemię, w wyniku którego wyżej wymieniony, wskutek silnego mechanicznego wielonarządowego urazu ciała, doznał obrażeń skutkujących jego gwałtowną śmiercią na miejscu zdarzenia” - zapisano w akcie oskarżenia.

Ten akurat pracodawca, jak przekazali włocławscy śledczy, przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu i wyraził skruchę. Skorzystał jednak z przysługującego mu prawa do odmowy złożenia wyjaśnień. Wyraził jednak wolę dobrowolnego poddania się karze - tak to się skończyło.

Pijaństwo na budowie - okolice Chełmna. Więzienie dla szefa

12 października 2018 r. lubiący sobie wypić pan K. pracował na czarno, instalując panele słoneczne na dachu domu. Nie miał przygotowania ani uprawnień do pracy na wysokościach. Nie miał umowy o pracę i na czarno dostawał od szefa firmy różne zlecenia od lat (sam tej umowy nie chciał). Nie miał badań, przeszkolenia etc. Miał za to w organizmie około 1,5 promila alkoholu - jak się potem okazało. Poprzedniego dnia wieczorem pił wódkę, a krytycznego dnia - w pracy - piwo.

Taki to pracownik na rauszu zabrał się za robotę. I to jaka! Zaczął od instalowania rusztowania, do czego absolutnie nie był przygotowany, nawet na trzeźwo. Skończyło się upadkiem z drabiny, poważnymi obrażeniami ze złamaniem kręgosłupa włócznie, paralizem od pasa w dół i wózek inwalidzkim. A dla pracodawcy - pana L.P., będącego właścicielem firmy montującej panele - procesem sądowym. W jego trakcie jeden ze świadków zeznał, że tamtego dnia piwo kupił szef. Dał pracownikowi, a i sam spożył...

Pomijając już te alkoholowe okoliczności, dowodów na zaniedbania pracodawcy Temida, podobnie jak wcześniej prokuratura, znalazła wiele. Sędzia Agata Makowska-Boniecka z Sądu Rejonowego w Chełmnie wyrok skazujący mężczyznę na bezwzględne więzienie ogłosiła 5.11.2019 r. W czerwcu 2020 r. orzeczenie to stało się prawomocne.

64-letni wówczas właściciel firmy uznany został za winnego narażenia życia i zdrowia pracownika, czego skutkiem był ciężki wypadek przy pracy. Kara? 1,5 roku bezwzględnego więzienia oraz 7 tys. zł dla pokrzywdzonego mężczyzny - ty-

tułem częściowego zadośćuczynienia (większej kwoty zawsze dochodzić można na drodze cywilnej).

Jak odnotował sąd w aktach sprawy, ten pracodawca „był już pięciokrotnie karany sądownie, dwukrotnie za przestępstwa prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości, za prowadzenie pojazdu wbrew zakazowi sądowemu oraz dwukrotnie za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości i wbrew zakazowi prowadzenia pojazdów. Obecnie odbywa karę 10 miesięcy pozbawienia wolności w innej sprawie karnej”.

Przy okazji tej sprawy natomiast - w ocenie sądu - grzeszył ewidentnie i ciężko. - W ocenie sądu, to właśnie niewykonanie przez oskarżonego ciężących na nim podstawowych obowiązków z zakresu bhp, w tym zwłaszcza brak nadzoru nad pracą S. K. i brak wyposażenia go w urządzenia chroniące przed upadkiem z wysokości, spowodowało narażenie pokrzywdzonego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia. Oskarżony działał umyślnie, miał świadomość tego, że nie dopełnia ciężących na nim obowiązków, co w części wynika z jego wyjaśnień. Swoim zachowaniem umyślnie naraził pracownika - podsumowała sędzia Agata Makowska-Boniecka, uzasadniając wyrok.

Z kraju. Poparzeni kwasem w hucie szkła i czworo oskarżonych uniewinnionych

Zdarzają się jednak i procesy takie, w których osoby oskarżone ze strony pracodawcy (bo bywają to też przecież kierownicy, brygadziści, zakładowi spece od BHP) przed obliczem Temidy zostają z zarzutów oczyszczeni. Tak stało się choćby w przypadku czworga z pięciorga oskarżonych w głośniejszej sprawie dotyczącej częstochowskiej Huty Szkła. Do tragedii doszło tutaj 24.01.2018 r. Jak ustalili śledczy, dwóch pracowników huty - 30-letni Łukasz i towarzyszący mu 37-latek - zajmowali się przepompowywaniem kwasu fluorowodorowego. Podczas tłoczenia kwasu do pojemnika odmierzającego, doszło do rozerwania tego zbiornika i kwas wydostał się na zewnątrz. Poparzeniom chemicznym ulegli trzej pracownicy. Najciężej poparzony żrącą substancją Łukasz zmarł w szpitalu...

Śledztwo częstochowskiej prokuratury przyniosło w afekcie akt oskarżenia przeciwko aż pięciu osobom - to rzadkość. Odpowiedzialnością, w różnym stopniu, oskarżono właśnie całe grono. Akt oskarżenia skierowano do sądu w 2019 r. Proces był długi. Wyrok w pierwszej instancji zapadł dopiero jesienią 2024 r. Cztery z pięciu funkcyjnych osób jednak uniewinniono.

©©

ŁÓDŹ BĘDZIE ZA ROK GOSPODARZEM EUROPEJSKICH SPOTKAŃ MŁODYCH TAIZÉ

49. Europejskie Spotkanie Młodych odbywać się będzie od 28 grudnia 2026 r. do 1 stycznia 2027 r. W programie spora dawka ekumenicznej religijności

Mariusz Grabowski



Dotychczas Europejskie Spotkanie Młodych Taizé w Polsce odbyło się 5 razy: trzykrotnie we Wrocławiu, w Warszawie, w Poznaniu (na zdjęciu)

Na zaproszenie lokalnych kościołów różnych wyznań tysiące młodych ludzi z całej Europy, w wieku od 18 do 35 lat, spotkają się w Łodzi na modlitwie. Zaproszenie wystosowała m.in. grupa polskich biskupów obecnych na grudniowym spotkaniu młodych w Paryżu. Apelowali o przyjazd wprost spod Wieży Eiffa. Zapowiadane wydarzenie towarzyszy minutowy spot promujący - można go oglądać na profilach Taizé, Taizé Łódź oraz w mediach Archidiecezji Łódzkiej.

Miasto pierwszego wyboru

Brat Maciej z Taizé w wywiadzie dla portalu zyciaskonne.pl mówi wprost: „Łódź zasłużyła, by gościć kolejne Europejskie Spotkanie Młodych”. I podaje powody: „Od lat łódzka młodzież przyjeżdża do Taizé i na Europejskie Spotkania Młodych. Prosiła o to spotkanie już od dawna. W 2017 r. otrzymaliśmy list młodzieży łódzkiej do przeora, którym był wówczas brat Alois. Podpisało go 200 młodych z Łodzi, którzy zobowiązali się do tego, że będą pomagali w przygotowaniu takiego spotkania. To pierwszy i główny argument. Drugi natomiast to fakt, iż nasze ostatnie europejskie spotkanie w Polsce miało miejsce we Wrocławiu w 2019 roku i skończyło się 1 stycznia 2020 roku. Miesiąc później ogłoszono pierwszą kwarantannę i przyszła pandemia. Zatem wszystkie owoce tego niesamowitego spotkania, które przeżyliśmy we Wrocławiu zniknęły w okresie pandemii. Stąd nasz powrót do Polski”.

Głównymi miejscami modlitw podczas Spotkań będą łódzka Atlas Arena oraz najważniejsze świątynie katolickie i protestanckie miasta.

Biskupi: „Przyjeżdżajcie!”

Bp Piotr Kleszcz OFM Conv., bp pomocniczy archidiecezji łódzkiej, mówi o atmosferze gościnności, jaka czeka uczestników. Zaznacza, że Łódź „przyjmuje młodych z taką samą otwartością i zaangażowaniem, z jakimi spotykają się oni w innych miastach goszczących Taizé”. Podobnie wypowiada się bp sosnowiecki bp Artur Ważny, bp pomocniczy diecezji siedleckiej Grzegorz Suchodolski, bp pomocniczy archidiecezji lubelskiej Adam Bab oraz bp pomocniczy archidiecezji gdańskiej Piotr Przyborek.

Z kolei metropolita krakowski kard. Grzegorz Ryś przypomina swoje osobiste związki z Łodzią, gdzie przez osiem lat mieszkał i pracował. Wyraził przekonanie, że czas spędzony w tym mieście może stać się dla młodych ważnym doświadczeniem duchowym i wspólnotowym.

Superintendent Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w RP bp Semko Koroza, zwrócił uwagę na ekumeniczny charakter spotkań Taizé oraz na „wartości, takie jak radość, miłość i dobro, które mają towarzyszyć uczestnikom”.

Życie w wiosce Taizé

Wspólnota z Taizé, małej miejscowości w Burgundii to prawdziwy fenomen w życiu religijnym Europy. Została założona w 1940 r. przez brata Rogera, czyli Rogera Louisa Schütz-Marsaucha (1915-2005), kalwina ze Szwajcarii. Jak podaje strona taize.fr, Wspólnota liczy obecnie ok. 80 braci o różnych kościelnych korzeniach - katolickich, anglikańskich i protestanckich. Bracia pochodzą z prawie 30 krajów. Ze względu na sam fakt swojego istnienia Wspólnota z Taizé jest swego rodzaju „przypowieścią o wspólnocie”, konkretnym znakiem pojednania między podzielonymi chrześcijanami i zwaśnionymi narodami.

Przez cały rok Wspólnota przyjmuje dziesiątki tysięcy młodych ludzi z Europy, a także z innych kontynentów. Przyjeżdżają oni na tygodniowe spo-

tkania, które wypełnia modlitwa i wspólne życie, chwile na refleksję biblijną i dzielenie się z innymi, w atmosferze, która pozwala im zastanowić się nad swoim życiem i przyszłością.

Większość braci mieszka w wiosce Taizé, inni, wysłani na misje w Azji, Afryce, Ameryce Łacińskiej i na przedmieściach Paryża, dzielą warunki życia z ludźmi, wśród których mieszkają. Te małe wspólnoty, fraterne, złożone z kilku braci, przez swą zwyczajną obecność wśród miejscowej ludności i włączenie w życie lokalnych Kościołów, mają z natury charakter tymczasowy.

Szósty raz w Polsce

Dotychczas Europejskie Spotkanie Młodych Taizé w Polsce odbyło się 5 razy: w 1989 r. we Wrocławiu (12. spotkanie), w 1995 r. we Wrocławiu (18. spotkanie), w 1999 r. w Warszawie (22. spotkanie), w 2009 r. w Poznaniu (32. spotkanie) i w 2019 r. we Wrocławiu (42. spotkanie).

O łódzkich Spotkaniach brat Maciej mówi tak: „Będzie to 49. Europejskie Spotkanie Młodych, zatem młodzi Portugalczycy, czy Francuzi przyjeżdża-

jąc do Łodzi oczekują na prawdę na spotkanie europejskie Taizé, wiedzą czego mogą się spodziewać, wiedzą dla czego przyjeżdżają, a miasto, które nas przyjmuje jest dodatkowym magnesem. Wydaje mi się, że duchowość Taizé, która odpowiada młodym ludziom, przeniknięta ciszą, śpiewem kanonów, a przede wszystkim Słowem Bożym jest tym, czego młodzi ludzie dzisiaj potrzebują i naprawdę nie obawiam się, żeby zabrakło Portugalczków, czy Francuzów, skoro przyjeżdżali do Rygi, czy do Tallina”.

Zapowiada też niespodzianki: „Będziemy na pewno na wiosnę w Polsce. Atlas Arena, czyli duże łódzkie wydarzenie ewangelizacyjne, które adresowane jest do młodych, będzie już eventem Taizé. Nie jest pewnie tajemnicą, że trzydziesta Lednica, która będzie miała miejsce 6 czerwca, też będzie eventem Taizé. A już od 1 czy od 2 września do Łodzi przyjedzie ekipa ok. 20 osób, w tym bracia, wolontariuszki, wolontariusze, siostry z kilku zgromadzeń, zaczniemy przygotowania spotkania, które będzie nieco inne. Wprowadzamy sporo nowości

i chcemy w jakiś sposób zaskoczyć naszych pielgrzymów”.

„Poszukiwanie wolności”

Jak Wspólnota z Taizé sytuuje się mapie ekumenicznego dialogu? Z pism pozostawionych przez brata Rogera wynika, że nie miał ambicji „formułowania spójnego programu teologicznego lub duszpasterskiego”. Unikał też rozważań teoretycznych. Niewątpliwie jednak w centrum jego życia znajdowała się kwestia odnowy życia chrześcijańskiego oraz dążenie do jedności chrześcijan.

Mocno podkreślał np. wagę modlitwy, zdając sobie równocześnie sprawę z wyzwani współczesnego świata, w szczególności sekularyzacji i postępującego zubożenia duchowego. Podjęcie tych wyzwań uważał za oczywiste zadanie chrześcijan. Unikał formułowania nakazów i zakazów, starając się stworzyć przestrzeń przyjeżdżającym do Taizé dla poszukiwań w wolności.

Charakterystyczne dla jego języka były takie słowa jak „prostota”, „zaufanie”, „życie w Komunii” czy „solidarność”. W poszukiwaniach ekumenicz-

nych starał się wskazywać na wspólne elementy wiary różnych wyznań chrześcijańskich, pozwalające na wspólną modlitwę oraz możliwość współpracy ekumenicznej w życiu społecznym.

I co ciekawe: choć do śmierci pozostał kalwinem, akcentował istotność posługi papieża jako „powszechnego pasterza jedności” oraz „rolę Marii, matki Jezusa w wyznawaniu wiary”.

Przypadek brata Rogera

2006 r. francuski historyk Yves Chiron opublikował artykuł, w którym stwierdził, że brat Roger na początku lat 70. przeszedł na katolicyzm. Wspólnota Taizé zaprzeczyła jednak stanowczo takim poglądom, zaś sam brat Roger w 1980, podczas jednego z europejskich spotkań młodych w Rzymie, stwierdził publicznie w obecności Jana Pawła II: „Znalazłem moją chrześcijańską tożsamość jedną w sobie samym wiarę mego pochodzenia z tajemnicą wiary katolickiej, nie zrywając z nikim komunii”.

Roger Louis Schütz-Marsauche zginął 16 sierpnia 2005 r. w Taizé w wyniku morderstwa. Do ataku doszło podczas wieczornych modlitw w siedzibie Wspólnoty. Sprawczynią była 36-letnia Rumunka, prawdopodobnie niezrównoważona psychicznie.

„Brat Roger był w wielu dziedzinach świadkiem nadziei, utorował wiele nieoczekiwanych dróg, zarówno w Kościele wśród chrześcijan, jak i wśród wszystkich ludzi dobrej woli, niezależnie od ich wyznania. Jego wizja, aby nasza wspólnota z pasją dążyła do jedności wszystkich chrześcijan, aby byli oni zacząłkiem pokoju i pojednania w rodzinie ludzkiej, nadal płonie w sercu naszego powołania jako braci” - czytamy na stronie taize.fr.

Kard. Ryś ma nadzieję

Wróćmy do Spotkań w Łodzi. Swoim autorytetem wspiera je kard. Grzegorz Ryś. „To jest pierwsza rzecz, której się spodziewam i dla której chciałem Taizé w Łodzi, ponieważ to miasto ma wpisane w swoje historyczne DNA takie pojęcia, jak: dialog, ekumenizm, bliskość, spotkanie wielu kultur, wielu wyznań” - mówił pod koniec grudnia w rozmowie z Radiem Watykańskim.

I dodał: „Łódź jest miastem młodych ludzi. O tym rzadko mówimy, bo o Łodzi w ogóle się mało mówi w Polsce, a przecież jest to miasto akademickie. Co siódmy człowiek na ulicach Łodzi to student. Ta młodzież też potrzebuje tego doświadczenia, które dzieje się podczas spotkań z rówieśnikami z całej Europy. Myślę, że to będzie bardzo dobrze działać w dwie strony”.

IM WIĘKSZY NIEPOKÓJ, TYM WIĘKSZE KOLEJKI PO ZŁOTO

Co warto wiedzieć przed zakupem złotych monet inwestycyjnych?
O inwestowaniu w złoto oraz kryptowaluty
rozmawiamy z Maciejem Peteją z IDF Metale w Katowicach

Jolanta Pierończyk

Jak rozpoznać autentyczność monet?

Niedawno spotkałem się w internecie ze stwierdzeniem, że nie ma stuprocentowej techniki na sprawdzenie autentyczności monet. Że jedyna możliwość to taka, że przetapiamy i sprawdzamy, czy to jest złoto. Ale w internecie, jak wiadomo, jest wiele różnych treści. Ja osobiście, odpukać, nie spotkałem się z monetami podrabianymi, a cały czas słyszę - także od klientów - że zalewani jesteśmy monetami podrabianymi. Ja, jak już powiedziałem, nie spotkałem się z nieprawdziwymi monetami i mam nadzieję, że tak pozostanie do końca mojej zawodowej kariery. Ale jeśli chodzi o sposoby na potwierdzenie autentyczności, to ja bym wyróżnił dwie grupy tych sposobów. Jedne to takie, którymi dysponują podmioty profesjonalne. I to są urzędnicy, które sprawdzają parametry monety, ponieważ złoto ma bardzo unikalne właściwości i pewnie dlatego od tysięcy lat jest w obiegu. Bo te właściwości za pomocą bardzo zaawansowanych urządzeń można sprawdzić. Natomiast są też sposoby dostępne każdemu. Jeśli mówimy o monetach - złotych czy srebrnych - to wystarczy położyć monetę na wadze i sprawdzić, czy faktycznie ma taką wagę, jaką podaje producent. Można też wziąć suwmiarkę czy linijkę mieniczą - obie sprawdzają średnicę i grubość. W linijce są wcięcia, gdzie pisze np. średnica Filharmonika albo jego grubość, przykładamy taką monetę i sprawdzamy. Jeśli nie chcemy mieć linijki mieniczej, wystarczy suwmiarka i wiedza na temat średnicy czy grubości danej monety. A przy pomocy wagi sprawdzamy wagę. Jeśli to się zgadza, to możemy przyjąć, że moneta jest autentyczna. Natomiast ja do tego proponuję jeszcze test dźwięku. Każda

moneta, ze względu na swoje wymiary, inaczej dźwięczy. Są aplikacje na komórkę, płatne czy bezpłatne, jest ich wiele, za pomocą których dźwięk wybranej monety sami możemy sobie potwierdzić.

Czy państwo jako sprzedawcy sprawdzają autentyczność monet?

Oczywiście, i często robimy to przy klientach. Zależy nam bowiem także na edukacji społeczeństwa. Oczywiście, zasada jest taka, że klient przynosi gotówkę i wymienia na złoto. Ale staramy się zawsze dawać coś od siebie. Mówimy, o co w tym wszystkim chodzi. Zdarzało się, że klient chciał kupić złoto na pół roku, co jest niebezpieczne, bo raz - to różnica między ceną sprzedaży a ceną zakupu, a dwa - nie ma pewności, że skoro w ciągu ostatniego pół roku cena złota wzrosła o 20 proc., to przez następne pół roku też o 20 proc. wzrośnie. Ludzie powinni wiedzieć, że złoto to raczej forma zabezpieczenia majątku na dłuższy czas. Jeśli ktoś przychodzi z innym założeniem, to ja mu mogę oczywiście metal sprzedać, ale uważam, że moją rolą jest uświadomić klientowi, że to może tak nie zadziałać. Że jest to niebezpieczne. Że złoto i w ogóle metale szlachetne - zważywszy na znaczące wzrosty w ostatnim czasie - można potraktować jako aktywo spekulacyjne, ale nigdy tego nie polecam, bo nigdy nic nie wiadomo.

Gdyby na liście lokat kapitału umieścić nieruchomości,

*PRZEZ TYSIĄCE LAT
NIE ZDARZYŁO SIĘ, BY ZŁOTO
STRACIŁO WARTOŚĆ, CO
ŚWIADCZY O JEGO SILE. JEST TO
AKTYWO PEWNE, NAMACALNE*

złoto i inne, to jak w tym układa się plasuje się złoto?

To trudne pytanie. Odpowiem tak, jak ja uważam, ale ktoś może się ze mną nie zgodzić. I powiem tak: złoto to nie jest inwestycja, choć ostatnie miesiące czy lata pokazują, że można na nim zarobić. Ale to są wyjątkowe sytuacje. Kiedy zaczynałem tu pracę, to złoto nie było aktywem, które robiło 20 czy 30 proc. w ciągu roku. Robiło kilka procent, góra dziesięć. Zarobić można było na innych aktywach. I może dlatego dziesięć lat temu złoto nie było tak popularne jak teraz. Natomiast ja osobiście uważam, że złoto powinien mieć każdy, ale - powtórzę - nie jako aktywo spekulacyjne, nie jako inwestycję, raczej jako formę zabezpieczenia pieniędzy. Bo każdy z nas powinien mieć jakąś poduszkę finansową, jakiś fundusz, z którego skorzystamy wtedy, gdy coś się wydarzy. I jeśli traktujemy złoto jako część poduszki bezpieczeństwa, a wręcz takiej poduszki, której nie mamy w zamiarze ruszać, to dla mnie złoto jest jednym z numerów 1. U mnie - subiektywnie to jest tak, że jest gotówka jako forma zabezpieczenia. Na drugim miejscu u mnie są metale szlachetne (zaczynałem od srebra, bo srebro było w moim zasięgu, a złoto jeszcze nie). Jak ktoś buduje portfel, kupuje srebro raz na miesiąc czy dwa. A dalej? Wszystko zależy od naszych możliwości. Może kryptowaluty? My mówimy o metalach szlachetnych - trzymamy, nie sprzedajemy,

też nie spekulujemy, choć kryptowaluty postrzegane są jako aktywa spekulacyjne. My jednak polecamy kryptowaluty jako formę dywersyfikacji portfela, swojej poduszki finansowej: kupuj, zapomnij na kilka lat. Nic jednak nie proponujemy na siłę. Mam klientów, którzy mówią: „Nie jestem przekonany do kryptowalut, nie chcę w to wchodzić” i ja to szanuję. Mam też grono osób starszych ode mnie, które mówią: „Nie do końca wiem, o co chodzi, ale spróbuję”. I jakąś część swoich funduszy w te kryptowaluty inwestują. Jeśli robią to w dłuższym terminie, to może to być ciekawe. Z perspektywy czasu mogą powiedzieć, że coś przyjemnego z tego jest.

Mamy te złote monety i co?

Trzymamy. Są osoby, które lubią sobie co jakiś czas wyjąć, pooglądać i nacieszyć się, zwłaszcza jak ktoś regularnie dokonuje zakupów. Mam młodych klientów, którzy regularnie kupują jakieś monety. Uważam, że jeśli ktoś jest młody, wchodzi w ten rynek, zaczyna uczyć się oszczędzania, to przyjemnie jest, jak raz na pół roku wyjmie sobie ten swój depozyt i widzi, że były kiedyś dwie monety, a teraz jest np. dziesięć. To motywuje do kontynuowania. Jak przechowywać? To kwestia indywidualna. Są dwie grupy osób. Jedna trzyma ten metal w miejscu, do którego ma dostęp 24 godziny na dobę i gdy coś się wydarzy, to można z tego skorzystać. Druga grupa trzyma go w bankach, w skrytkach, firmach specjalnych. Natomiast ja - wskutek rozmów z klientami - nie jestem zwolennikiem tej drugiej metody. Bo w tym momencie tworzymy sobie barierę. Kiedyś usłyszałem od klientów taką historię, że gdzieś na Kresach Wschodnich była mała miejscowość, jeden bank i w przededniu

wojny wszyscy mieszkańcy poszli wypłacić pieniądze. Wyszedł właściciel banku, powiedział: „Spokojnie, wszystko zostanie wypłacone, proszę przyjść o piętnastej, wszystko przygotujemy”. Przyszli o piętnastej, a tam kłódka na drzwiach. Więc ja osobiście nie chciałbym sytuacji, że stoję przed kratą i widzę, że w skrytce, w rogu są moje pieniądze, ale co z tego, kiedy nie mam do nich dostępu.

A teraz sytuacja odwrotna. Mamy monety, chcemy gotówkę. Przychodzimy w to samo miejsce...

Może być to samo lub inne, bo punktów sprzedaży metali szlachetnych jest więcej: nie tylko w Katowicach, Polsce, ale też za granicą. Monety, o których mówimy, są rozpoznawalne na całym świecie.

Cena kupna różni się od ceny sprzedaży?

Tak. Klienci kupują od nas po wyższej cenie (cena sprzedaży), a my odkupujemy po niższej (cena skupu). Weźmy przykład. Najtańsza moneta kosztuje w tej chwili [27 października 2025] 15 450 zł (tyle kosztuje Britannia). Gdybyśmy chcieli poznać cenę skupu, wchodzimy na naszą stronę internetową w zakładkę Skup, wybieramy pozycję „uncja”. Tu akurat mamy cenę za gram, bo teraz mówimy o monetach, ale są też sztabki, a im jest bliżej do gramów - 20, 50, 100 g. Więc żeby klientom, mam nadzieję, uprościć przeliczanie, podajemy wartości w gramach. A gram to w tej chwili [27 października 2025] 474,24 zł, więc mnożymy przez 31,1 g (uncja) i wychodzi 14 750 zł. Jak już przeszliśmy do różnicy między ceną zakupu a późniejszą ceną sprzedaży, trzeba pamiętać, że im mniejsze gramatury, tym cena za gram jest wyższa. Jeśli na przykład kupujemy dwie monety półun-

cjowe, to zapłacimy więcej niż za uncję w jednym kawałku. A jeżeli kupujemy dwie monety ćwierćuncjowe, to ta cena będzie wyższa niż w jednej połówce. Czyli im bardziej się rozdrabniamy, tym cena za gram rośnie przy zakupie, a przy odsprzedaży niekoniecznie. Trzeba mieć świadomość tego, że jeśli ktoś przyniesie sztabkę 100-gramową czy dwie pięćdziesiątki lub pięć dwudziestek czy nawet dziesięć dziesiątek, to dla mnie dalej jest to 100 gramów, a dla klienta przy odsprzedaży to będzie dość widoczna różnica między jedną 100-gramową sztabką a dziesięcioma 10-gramowymi.

Minusy inwestowania w złoto?

Chyba przechowanie. Jak mamy większą ilość, możemy czuć się niekomfortowo, że mamy w domu złota za kilkadziesiąt tysięcy. Ponadto trzeba pamiętać, że jest to aktywo inwestycyjne, notowane, czyli jego ceny rosną i spadają. Może być, że wejdziemy na drugi dzień po zakupie na stronę internetową i cena będzie niższa. Były takie sytuacje. Klienci byli niezadowoleni, ale to jest specyfika każdego notowanego aktywa. Trzeba mieć po prostu tego świadomość. Generalnie jednak wolę mówić o plusach niż o minusach.

To przejdźmy do plusów.

Jest ich bardzo dużo. Po pierwsze - mamy prawdziwy pieniądz. Złoto ma realną wartość, nieprzerwaną przez tysiące lat. Na papierku możemy sobie wydrukować, co się tylko chce. Druga kwestia: namacalny charakter złota czy innego metalu szlachetnego. Kiedy coś się dzieje, zapala się nam światelko, że musimy mieć coś realnego w domu, a nie papierki, które nagle tracą swoją wartość. Papierek to pieniądz fiducyjny (fides - za-



FOT. AUTOR

Maciej Peteja: Złoto powinien mieć każdy, ale nie jako aktywo spekulacyjne czy inwestycja

ufanie po łacinie), czyli oparty na wierze - wierzymy, że to jest warte tyle, ile tam napisano. W przypadku złota nie ma wiary, jest jego realna wartość. Dlatego jak coś się dzieje, uważamy, że warto ten metal mieć. Jak ja banknot przerwę na pół, to jest przerwany, a jak uncję złota podzielię na pół, to parę procent stracę, bo jednak uszkodzona, ale jak pójde do jubilera, to nadal to kupi, może taniej, ale nawet poprzecinane, poobgryzane to nadal jest to złoto. Coś, co przechowuje swoją wartość w czasie. Przez tysiące lat nigdy się nie zdarzyło, by złoto straciło wartość, co też świadczy o jego sile.

A więc aktywo pewne, namacalne, które można mieć w rękę. Trzecia kwestia: transakcyjność. Weźmy na przykład mieszkanie (oczywiście nic nie mam przeciwko mieszkaniom i inwestowaniu w nieruchomości). Gdy chcemy je sprzedać szybko, to musimy dać znaczący rabat. Natomiast jak chcemy sprzedać na szybko złoto, przychodzimy do punktu skupu metali i wymieniamy na gotówkę. Po aktualnej cenie za gram. Jak mówiliśmy, jest to aktualnie 474,24 zł za gram. I wcale nie trzeba oferować np. 300 zł, żeby było szybciej.

Cena jest stała - zarówno w Polsce, jak i w innym miejscu na świecie. Kolejna korzyść to mobilność. Mieszkania nie zabierzemy ze sobą, ziemi też nie, a metal wkładamy do plecaka czy kieszeni i w drogę. Poza tym - mieszkanie może spłonąć. A złotu ogień niestraszny. Nawet jak się roztopi (temperatura topnienia złota jest bardzo wysoka - 1064 stopnie Celsjusza, podczas gdy typowy pożar domowy osiąga 600-800 stopni, więc złoto przetrwa w formie stałej), to nadal jest to złoto. W innym kształcie, ale nadal złoto.

A zainteresowanie złotem? Czy są tzw. złote okresy dla złota?

Powiem tak: im gorzej, tym lepiej. Im większy niepokój społeczny, tym większe kolejki w takich miejscach jak nasze. Minus tego jest taki, że jak coś się dzieje, to nie tylko kupujemy my, czyli - niezbyt elegancko mówiąc - ulica, ale kupują też duże podmioty. Taka jest sytuacja w tym momencie. Jeśli chodzi o sztabki, nieważne, czy 1-gramowe czy kilogramowe, sztabek nie ma od kilku tygodni i przez kilka tygodni nie będzie, bo takie mamy informacje z mennic, z którymi współpracujemy.

Jak rośnie zainteresowanie, rośnie też cena. Jak wraca spokój, spada cena złota. Dlatego to, co już mówiliśmy, nie należy patrzeć na wykresy. Po wzroście cen przyszła kiedyś klientka, żeby sprzedać swoje złoto. Bez konkretnego celu. Po co więc wymieniać na walutę, która cały czas traci na wartości?

A srebro, platyna?

Jeśli chodzi o platynę czy pallad, to my generalnie tymi metalami się nie zajmujemy, więc nie jestem tak bardzo na bieżąco. Ale powiem o jednej praktycznej rzeczy. Od razu podkreślę, że ja nie deprecjonuję ani platyny, ani palladu, bo to metale z dużym potencjałem, ale w tym roku mieliśmy sytuację, że przyszła do nas pani z jednouncjową monetą platynową i pyta, czy my kupujemy, bo ona obesza już całe Katowice i nikt tego nie chciał. Więc ja patrzę na metale pod kątem transakcyjności. Nie chciałbym zarobić 100, 200, 1000 proc. na jakimś aktywie, a potem mieć problem ze sprzedażą. Oczywiście mówię tu tylko o naszym lokalnym rynku, a Katowice to największe miasto w tym regionie i jeśli tu ktoś ma problem ze sprzedażą jednej uncji platyny czy palladu, to ja bym nie siedział w tym kierunku. Złoto czy srebro są aktywami jak najbardziej transakcyjnymi. Jeśli chodzi o srebro, to powiem, że bardzo wiele osób traktuje srebro (i słusznie) jako drobne do swojego portfela metalowego. Mówiliśmy, że im bardziej się rozdrabniamy, to cena za gram jest wyższa. Są więc klienci, którzy mówią: „Wiem, że w przypadku złota musiałbym wybrać mniejszą gramaturę, ale nie chcę płacić więcej, więc wybieram jednouncjowe monety srebrne”. Cieszą się one dużym zainteresowaniem. Srebro ma wielu fanów. Wszystkie mennice, które robią złote monety, robią je także w wersji srebrnej. Można więc mieć srebrnego Krugerranda, srebrny Liść Klonowy i wszystkie inne ze złotej szóstki. Jedynie w przypadku Kangurka - rewers tu się co roku nie zmienia, zawsze jest taki sam, tylko w złocie jest zmienny. Ceny srebra są zdecydowanie niższe od złota. Na przykład Liść Klonowy kosztuje ok. 234 zł.

I jeszcze parę słów o kryptowalutach.

Jeżeli kupujemy złoto fizyczne, to ono ma namacalny charakter. W przypadku kryptowalut tego charakteru nie ma. Upraszczając temat, kryptowaluty są w internecie, w specjalnej bazie danych którą nazywamy blockchain. To jest łańcuch bloków z danymi. Każdy blok ma określoną pojemność i jest zapeł-

niany transakcjami przeprowadzanymi w danym momencie, po czym jest zamknięty i transakcje rejestrowane są w kolejnym. I tak dalej. Cały bitcoin nie jest w naszych rękach, ale w tym właśnie blockchainie. Naszym zadaniem jest to, by nie utracić dostępu do tej bazy danych. Musimy temu systemowi udowodnić, że to my jesteśmy właścicielami danych transakcji. Są pewne podobieństwa do tradycyjnego systemu finansowego. Jeżeli chcemy komuś zrobić przelew lub on nam, obie strony muszą mieć konto w banku. Tak samo jest z kontem kryptowalutowym. Takie konto możemy stworzyć samodzielnie. Można to zrobić na różnych platformach w internecie. Początkową trudnością w przypadku kryptowalut może być nomenklatura, czyli niecodzienne pojęcia, typu blockchain, klucz publiczny czy prywatny. Można więc przyjść do takiego kantoru jak my i ja pomagam w stworzeniu takiego portfela czy konta. Nie wchodząc w szczegóły, powiem tak: konto można stworzyć w internecie, natomiast jak kupujemy kryptowaluty w dłuższym terminie i chcemy je bezpiecznie przechowywać, raczej korzystamy z czegoś, co się nazywa portfelem zewnętrznym. Ten portfel to swoisty pośrednik między nami a danymi w blockchainie, dzięki któremu potwierdzamy, że transakcja tam zapisana jest nasza i możemy robić kolejne. Portfel zewnętrzny - cold wallet - charakteryzuje się tym, że jest poza internetem, nie jest do niego podłączony, a tym samym nie jest narażony na żadne ataki, w przeciwieństwie do giełdy kryptowalut. Dlatego polecamy portfele zewnętrzne. Kryptowaluty mają też cechę wspólną z metalami szlachetnymi. Jeśli chcemy sprawdzić aktualną cenę złota, to oczywiście można wpisać „cena złota”, ale jak chcemy się dowiedzieć dokładnie, ile zapłacimy za sztabkę czy monetę, musimy się skontaktować z konkretnym dystrybutorem. Podobnie jest z kryptowalutami. Też można wejść na stronę, np. CoinMarketCap i sprawdzić aktualną średnią cenę kryptowaluty, natomiast jeśli chcemy się dowiedzieć, ile dokładnie za kryptowaluty zapłacimy, musimy się skontaktować z miejscem, gdzie tego zakupu chcemy dokonać. Kryptowaluty to ciekawy temat. Jak już powiedziałem, są traktowane jako aktywa spekulacyjne. Natomiast jak kupujemy w dłuższym terminie, to jest szansa, że te wszystkie spadki oraz wzrosty nas ominą i po jakimś czasie będziemy na plusie.

©©

ZŁOTO INWESTYCYJNE W PIGUŁCE

Najbardziej popularne monety inwestycyjne (przy których nie ma żadnego problemu w przypadku sprzedaży zarówno w Polsce, jak i na świecie) tworzą tzw. wielki kanon, czyli złotą szóstkę: Australijski Kangur, Kanadyjski Liść Klonowy, Wiedeński Filharmonik, Krugerrand z RPA, Britannia z Wielkiej Brytanii, Amerykański Orzeł z USA. Z tej szóstki Krugerrand jest monetą najstarszą (pojawiała się na rynku w 1967 r.), dlatego wśród części inwestorów Krugerrand uważany jest za monetę numer 1. Druga złota moneta pojawiła się w 1986 r. To Australijski Kangur, który jest jedyną monetą mającą co roku inny rewers. Ten kangurek co roku wygląda nieco inaczej. Jest to też jedyna moneta fabrycznie pakowana w kapsel, czyli przezroczyste pudełeczko. Rok 1989. Pojawia się Wiedeński Filharmonik, jedyna moneta, która ma euro na awersie. Moneta bardzo popularna. Po pierwsze - bardzo ładna, po drugie - jest nam najbliższa rejonowo, po trzecie - jest bardzo charakterystyczna, bo ma największą średnicę (39 mm), pozostałe mają ok. 33 mm. Taki duży krążek robi wrażenie, ale uncja to uncja i przy swojej średnicy Wiedeński Filharmonik jest monetą najcieńszą. Przeciwnieństwem Wiedeńskiego Filharmonika jest Kanadyjski Liść Klonowy, którego średnica wynosi 31 mm i stąd jest najgrubszy. W 1987 r. pojawiła się Britannia. Choć jest starsza niż Wiedeński Filharmonik, niektórzy wciąż kwestionują jej miejsce w wielkiej szóstce. Ale to moneta bardzo ciekawa. Ma uncję złota próby 999, ale nie zawsze tak było. Na początku była tam domieszka miedzi, jak w przypadku Krugerranda i Orła. Britannia jest piękna. Falujące tło, hologram w małym kółeczku, pierścieni z mikronapisami oraz zmienna grafika kłódki, która zmienia się pod różnym kątem patrzenia. Tym samym jest to bardzo dobrze zabezpieczona moneta. Ale to najnowsza wersja. We wcześniejszych tło było gładkie i nieco inaczej wyglądała Britannia, czyli ta postać. Do momentu wprowadzenia do obiegu Britannii, za najlepiej zabezpieczoną monetę uchodził Kanadyjski Liść Klonowy (w obiegu od 1979 r.), ze swoim małym listkiem nazywanym hologramem, w którym jest aktualna data. Dodatkowo w nowych wersjach mamy coś, co według producenta jest nazywane jako Bullion DNA. Chodzi o to, że liść klonowy wybitny na rewersie umieszczono na tle jakby promieni słonecznych, które wplecione są w kod kreskowy. Mennica kanadyjska dysponuje specjalnym urządzeniem, które jest w stanie odczytać ten kod kreskowy i tym samym dodatkowo potwierdzić autentyczność monety. Krugerrand oprócz tego, że najstarszy, to jest jedną z dwóch monet, które mają domieszkę innego metalu, tu jest akurat miedź. Co sprawia, że to jest próba 916,6, a moneta waży nie 31,1 g, jak by to wynikało z uncji trojańskiej, ale 33,93 g - to masa całkowita tej monety, w tym zawartość miedzi to 2,82 g. Krugerrand też ma zabezpieczenia, ale to moneta, która wizualnie nie zmieniła się w ogóle od 1967 r., natomiast od 2017 r. pod tylną nóżką skoczniaka antylopiego jest mikronapis Krugerrand, widoczny pod bardzo dużym powiększeniem. Amerykański Orzeł istnieje od 1986 r. Piękna moneta, ale cena jej zakupu jest znacząco wyższa od pozostałych, co sprawia, że mimo iż jest to moneta kanonowa, czyli z wielkiej szóstki, to jednak nie cieszy się większym zainteresowaniem. Podobnie jak Krugerrand, Orzeł ma domieszkę innego metalu. Też o wadze 2,82 g, ale tu ten dodatek jest podzielony na miedź i srebro. Więc ta moneta nie jest czerwonawa, jak Krugerrand, kolor Orła jest bladozłoty. Oprócz tego Orzełka mennica USA ma też przepiękną monetę, subiektywnie mówiąc, Amerykańskiego Bizona. Bardzo rzadko go mamy, bo jak wszystkie monety amerykańskie, jest droższy od innych. Ale ta moneta ma swoisty sznyt, jak z dawnych wieków. Pięknie ukształtowane są wszystkie elementy. Niestety, kosztuje kilkaset złotych więcej, a przy odsprzedaży nie ma się co spodziewać, że dostaniemy więcej, więc nie za bardzo cieszy się powodzeniem. Kiedy złoto było tańsze, relatywnie niedawno, za 60 tys. zł można było mieć sześć monet, teraz trzy. I wtedy klienci wybierali jednego Kangurka, jeden Listek, Filharmonika, Krugerranda i Orzełka. Teraz, kiedy złoto jest dużo droższe, to ludzie pytają: „Które najtańsze?” i nikt nie zwraca uwagi na te droższe monety. Choć są bardzo ładne. Cały czas mówimy o monetach inwestycyjnych, które są jakby sztabkami w kształcie monet.

Powiedz mi, jak to się stało, że zostałaś ilustratorką nowego wydania Harry’ego Pottera? To są pierwsze polskie ilustracje i pierwsze w pełni polskie wydanie książek J.K. Rowling.

Tak, bardzo dużo krajów w ten sposób celebrowało 25-lecie wydania Harry’ego Pottera. Myślę, że miałam po prostu dużo szczęścia. Moje prace zostały zauważone na portalu Behance przez Andrzeja Komendzińskiego z Wydawnictwa Media Rodzina. Zwrócił się do mnie z pytaniem, czy przypadkiem nie byłabym zainteresowana taką współpracą. No i oczywiście byłam.

A byłaś zaskoczona tą propozycją?

Byłam bardzo zaskoczona i szczęśliwa. Ogromnie się podekscytowałam.

Czy to jest dla ilustratora sukces, że jego prace ukazują się w takim wydawnictwie, w takiej książce jak Harry Potter? Mój prywatny na pewno.

Wszystko pewnie zależy od ilustratora. Jeżeli to jest siedemdziesiąta piąta książka w dorobku, to nawet jeśli jest to Harry Potter, pewnie nie jest to już aż tak emocjonujące. Natomiast ja zawsze bardzo chciałam pracować w branży wydawniczej, a to jest moja pierwsza taka propozycja i od razu okazała się strzałem widowskim. Więc tych emocji było podwójnie dużo.

Miałaś pełną swobodę, jeśli chodzi o ilustracje? Czy dostałaś jakieś wytyczne od wydawnictwa?

Wytyczne były bardzo konkretne. Część z nich pochodziła od wydawnictwa, a część od samej marki Harry Potter. Wszyscy, którzy z tej marki korzystają, zobowiązani są do przestrzegania określonych zasad. Generalnie sprowadza się to do dość precyzyjnego trzymania się tekstu – Harry nie może być blondynem, Hermiona nie może mieć krótkich włosów i tak dalej. To bardzo zawęża pole manewru. Poza tym okładka miała być komercyjna i skierowana raczej do młodego odbiorcy niż do dorosłego. Jak wiadomo, Harry’ego Pottera czytają wszyscy – naprawdę wszyscy – więc tę okładkę można by projektować na wiele sposobów. Ja jednak dostałam konkretne zadanie: przygotować ją z myślą o dzieciach i młodzieży.

Powiedziałaś, że okładka miała być komercyjna i skierowana do młodego czytelnika. Zastanawiam się więc, czym różni się ona od ilustracji niekomercyjnej. I czy inaczej rysuje się dla dzieci niż dla dorosłych?

- Na swój styl pracuje się całe życie. Trzeba po prostu „odrysować swoje”, żeby on się naprawdę wyklarował – mówi Kaja Bajowska, artystka, ilustratorka, rysownicza. To ona rysuje okładki i ilustracje do nowych polskich wydań Harrego Pottera

Marlena Bogdan-Marut

PIERWSZA POLSKA OKŁADKA HARRY’EGO POTTERA TO WŁAŚNIE JEJ DZIEŁO

Myślę, że gdyby okładka miała być skierowana do dorosłych, próbowałabym zrobić ją prostszą, mniej opisową, a bardziej symboliczną. Tutaj jednak kolejną wytyczną było umieszczenie na froncie konkretnej sceny z książki – ja sama pewnie nie poszłabym w tym kierunku. A takie właśnie były wytyczne.

Mogłaś narysować Harry’ego inaczej niż inni ilustratorzy? Czy oglądałaś książki ilustrowane przez innych autorów z różnych krajów?

Trochę pooglądałam, głównie po to, żeby wiedzieć, czego unikać. Kolejną wytyczną było bowiem to, żeby ilustracje były – na ile to możliwe – oryginalne, nie wzorowane na bohaterach serialu, ani innych „gotowych” stylach ilustratorskich. Chodziło więc o to, by wiedzieć, co już zostało zrobione i gdzie jest jeszcze jakaś niewyeksplorowana nisza. Powstałe wcześniej ilustracje różnią się przede wszystkim stylistyką samych ilustratorów. Harry zawsze wygląda jak Harry – to chłopak o ciemnych włosach i w okularach – i to się nie zmienia. Ron zawsze jest rudy i to też pozostaje stałe. Tu po prostu nie było pola manewru. Zresztą nie wiem, czy w ogóle jest sens to zmieniać, bo te postacie są świetne i bardzo mocno funkcjonują już w światowej kulturze.

Dla widzów filmowych adaptacji Harry ma twarz Daniela Radcliffe’a.

I akurat uważam, że tego aktora dobrano fenomenalnie.

Zastanawiam się, czy ilustratora nie kusi – nawet pod-

świadomie – żeby zrobić coś podobnego do tego, co już istnieje?

Nie, podświadomie raczej ma się chęć zrobienia czegoś po swojemu, w drugą stronę. Poza tym, jeśli dostajesz konkretne wytyczne, że ma to nie być podobne do innych realizacji, a jesteś zadaniowcem – tak jak ja – to po prostu się do tego stosujesz.

Harry’ego Pottera uznajemy za sukces ilustratorski – jesteśmy więc gdzieś bardzo wysoko. Zejdźmy teraz o kilka schodków niżej. Jak zaczęła się twoja droga zawodowa? Kiedy pomyślałaś, że chcesz wejść na ścieżkę prowadzącą do bycia artystką? Czy to było tak, że już w wieku czterech lat stwierdziłaś: „lubię rysować, będę artystką”?

Nie, w wieku czterech lat na pewno nie. Ta myśl pojawiła się dopiero mniej więcej w połowie liceum. Do tego momentu widziałam siebie zupełnie inaczej, nie precyzowałam jeszcze zawodu, ale wyobrażałam sobie siebie w przyszłości jako panią za biurkiem, na obcasach, w garsonce, zajmującą się jakimiś poważnymi sprawami w banku. Wydawało mi się to sensowne, bo bardzo lubiłam matematykę, w szkole szło mi dobrze, więc wszystko się zgadzało. I w tym liceum – zupeł-

nie nie wiem dlaczego – pomyślałam, że tamten pomysł może nie jest najlepszy i że jednak wybieram plan B. Metodycznie zaczęłam się do niego przygotowywać, trochę sama, bo byłam w klasie matematyczno-fizycznej i raczej szykowałam się wcześniej na ekonomię. Sama zaczęłam więc uczyć się historii sztuki. Koleżanka poleciła mi fantastyczne zajęcia w BWA, które prowadził – dziś już nieżyjący – malarz, pan Władysław Michał Matusz. Był świetnym nauczycielem i faktycznie przygotował mnie do egzaminów na ASP, na które dostałam się dopiero za drugim razem – do Łodzi.

Ale to było tak, że ty rysowałaś od zawsze...

Rysowałam właściwie całe życie. Moja mama rysowała – jest po opolskim „plastyku” – więc w domu było dużo rysowania. Moje starsze rodzeństwo też rysowało. Siostra w pewnym momencie przestała i dziś jest lekarką, ale brat pracuje w zawodzie – w gamingu. Tak spędzaliśmy czas: byliśmy dość spokojni, siadaliśmy i po prostu rysowaliśmy.

A co najbardziej lubisz rysować?

Ludzi. Zdecydowanie ludzi. Cała reszta jest zawsze tylko dodatkiem do nich.

Czy twoje rysowanie „komercyjne” – nazwijmy tak Harry’ego Pottera, bo była to praca na zlecenie – różni się od tego, jak pracujesz na co dzień? W sensie: czy na co dzień tworzysz bardziej dla siebie?

Technicznie właściwie się nie różni. Różnica polega raczej na tym, że projekty komercyjne są zazwyczaj „ładniejsze”. Mnie natomiast czasem ciągnie do rysowania rzeczy trochę brzydkich. Myślę, że wynika to z tego, że przez całe dzieciństwo i młodość najczęściej rysowałam piękne, dobrze ubrane kobiety. Zamiast bawić się lalkami Barbie, rysowałam je sobie. I mam wrażenie, że to mi się po prostu znudziło. W pewnym momencie przestało mnie interesować rysowanie ślicznych kobiet, których wszędzie jest pełno – na zdjęciach, bilbordach, w telewizji, w ilustracjach także. Jest tego już po kokardkę. Fajnie więc przemycić coś ciekawszego: może zabawnego, może trochę przewrotnego, może po prostu interesującego. A przy bardzo komercyjnych projektach nadal najczęściej oczekuje się, żeby ilustracja była po prostu ładna i nie odstraszała odbiorcy.

Zrobiło się o tobie głośno właśnie za sprawą Harry’ego Pottera i okładki, którą przygotowałaś do pierwszego tomu, wydanego w październiku 2025 roku. Zawsze, gdy rozmawiam z artystą, który utrzymuje się ze swojej twórczości, zastanawiam się, czy da się z tego żyć. Ty – jako niedoszła ekonomistka – pewnie też się nad tym zastanawiałaś.

Właśnie nie, nie zastanawiałam się nad tym. Nie myślałam o ilustracji w kategoriach finansowych, raczej emocjonalnych. To trudne pytanie, bo kiedyś dało się z tego żyć łatwiej, a teraz jest coraz trudniej – między innymi z powodu AI. Po studiach w zasadzie od razu zaczęłam pracować, w różnych miejscach. Miałam wtedy stałą pracę, byłam zadowolona z zarobków, wszystko było w porządku. Z czasem jednak zaczęło się to pogarszać. Ostatnio różnica jest wyraźna: zleceń jest mniej, ludzie tracą pracę, po prostu jest trudniej.

Ale wiesz, to jest dla mnie niewiarygodne, że ktoś może pomyśleć, że AI zrobi coś lepiej niż artysta. Coś lepszego niż twoje rysunki. Tego przecież w ogóle nie da się porównać.

No tak, ale jeśli spojrzymy na to od strony przede wszystkim finansowej, to po prostu bardziej się to opłaca. Poza tym dla wielu klientów ilustracja jest sprawą drugorzędną: bywa informacyjna, jest tylko dodatkiem. Dlatego w produkcjach, w których ilustracja ma realne znaczenie, wciąż pracują ludzie. Natomiast w momencie, gdy ilustracja nie jest kluczowa, sytuacja wygląda inaczej. Skoro teraz może to zrobić AI praktycznie za darmo, to wiele osób po prostu z tego korzysta. Spora część tej pracy – choć oczywiście nie cała – jest więc stopniowo wypierana. Myślę, że takie rzeczy jak okładki książek czy książki dla dzieci w jakiejś formie zostaną, podobnie jak inne bardziej ambitne projekty. Natomiast ta mniej prestiżowa część pracy będzie pewnie coraz częściej zastępowana maszyną.

I co teraz będziesz robić?

Harry’ego Pottera jest sporo do narysowania, więc przez kolejne pół roku będę raczej zajęta.

Ile jest tych książek? Siedem.

Do wszystkich będziesz przygotowywać ilustracje?

Tak. Dwie kolejne są już praktycznie gotowe – trzeba je tylko trochę dopracować. Tak że pracy jeszcze trochę zostało.

A to jest męczące? Wyobrażam sobie, że wydawnictwo może zgłaszać na przykład różne poprawki.

Nie, to jest wspaniałe. Jeśli pojawiają się poprawki, to są to drobnostki. Bywa to czasem irytujące, ale generalnie praca jest bardzo przyjemna. Ja naprawdę bardzo lubię to robić.

Wróćmy jeszcze do sukcesu, jakim jest dla ciebie Harry Potter. Czy spodziewasz się



FOT. BARBARA GALAS

Kaja Bajowska: W pewnym momencie przestało mnie interesować rysowanie ślicznych kobiet

teraz większej liczby zleceń ilustratorskich? Czy działa tu zasada: im głośniejszy artysta, tym więcej pracy?

Mam nadzieję, że tak. Zazwyczaj to właśnie tak działa, choć oczywiście nie ma żadnej pewności. Jakiś ruch „w interesie” już się pojawia, ale dopóki coś nie jest zwieńczone umową, nie ma jeszcze o czym opowiadać.

Z czego więc żyje artysta, zanim trafi mu się takie wydawnictwo? Czy ty utrzymywałaś się ze swoich ilustracji i rysunków?

Tak, przez bardzo długi czas utrzymywałam się z rysowania. Potem przyszedł kryzys „AI-owy” i zrobiło się trudniej, a teraz zaczynam jako nowicjusz w wymarzonej branży wydawniczej. Wcześniej pracowałam w różnych miejscach: małej agencji reklamowej, firmie specjalizującej się

w grach społecznościowych, na które swego czasu był wielki boom, fińskiej firmie dostarczającej narzędzi do zbierania danych. Byłam tam dyrektorką artystyczną przez siedem lat, właściwie „od wszystkiego”. Miałam bardzo ekscentrycznego szefa, który postanowił oprzeć marketing firmy na postaciach w stylu disneyowskim. Ja te postacie rysowałam, tworzyłam na stronę internetową, ikonki. Pracowałam też przez jakiś czas w gamingu, do dziś współpracuję freelance’owo z agencjami reklamowymi. Także to była i nadal jest dość różnorodna droga.

Zastanawiam się, bo wyobrażam sobie, że czytają tę rozmowę osoby, które same myślą o artystycznej drodze i nie wiedzą, czy w ogóle warto ją zaczynać ani od czego. Albo rodzice

dzieci, które właśnie oznajmiły: „Słuchajcie, będę żył ze swojej twórczości”. Już widzę to przerażenie w oczach, bo to nie będzie inżynier, adwokat, lekarz czy ekonomista, tylko artysta. Co byś takim osobom doradziła? Iść za głosem serca czy jednak mieć w zanadru jakiś inny zawód?

Wiesz co, nie jestem taka mądra, żeby cokolwiek komukolwiek radzić. Dziesięć lat temu pewnie powiedziałabym, że pewnie, że się uda, że oczywiście trzeba iść za głosem serca. Dziś nie wiem. Nikomu bym nic nie doradzała, zwłaszcza w wychowaniu dzieci. Wychowywanie własnych i tak jest wystarczająco trudne.

A gdyby twój dwaj synowie przyszli i powiedzieli: „Mamo, będę artystą, tak jak ty”?

Moje dzieci raczej nie lubią siedzieć spokojnie, bardziej

spełniają się w aktywnościach fizycznych (śmiech). Choć oczywiście wszystko może się jeszcze zmienić. Zobaczymy – na pewno mają zielone światło.

Myślisz, że w przyszłości AI rzeczywiście zastąpi ilustratorów? Czy to w ogóle możliwe?

Mam nadzieję, że nie. To naprawdę strasznie smutne, że wygląda to tak, jak wygląda. Ale prawda jest taka, że ogromna liczba ludzi po prostu nie przywiązuje do tego większej wagi i ich potrzeby można dziś obsłużyć sztuczną inteligencją. Zawsze jednak zostanie jakaś grupa odbiorców, która będzie doceniać fakt, że ilustrację stworzył człowiek, ze swoimi emocjami i wrażliwością.

Twoje rysunki to jest sztuka. To nie są proste ilustracje,

które można po prostu zlecić AI i uznać sprawę za załatwioną. Zastanawiam się, czy nie będzie tak, że w pewnym momencie nasycimy się tym, co tworzy sztuczna inteligencja, tymi pracami zbyt doskonałymi, perfekcyjnymi, choć czasem z błędami w rodzaju sześciu palców u dłoni. Może ludzie zateśkną za sztuką tworzoną przez człowieka? Za oglądaniem czegoś, co naprawdę wyszło spod ludzkiej ręki.

Moja znajoma śmiała się, że kiedyś na produktach będą naklejki „Made by Human” i że to będzie prawdziwy rytas. Myślę, że to niestety wizja, która może się spełnić.

Wolisz tworzyć dla dorosłych czy raczej dla dzieci? Czy to w ogóle czymś się różni?

Właściwie nie, nie ma tu wielkiej różnicy. Oczywiście warto myśleć o końcowym odbiorcy, ale i jedno, i drugie jest fajne.

A trudniej jest rysować dla dorosłych?

Trudny może być temat, nie odbiorca.

Gdybyś mogła cofnąć się o jakieś piętnaście lat i dać sobie jedną radę, co byś sobie powiedziała?

Żeby traktować swój zawód poważnie i żeby myśleć bardziej o odbiorcy, a nie tylko o sobie. Przez bardzo długi czas rysowałam głównie dla własnej przyjemności, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, że odbiorca musi się wysilić, żeby coś dostrzec, że coś jest niedorysowane albo niedopracowane. I nie mówię tu o „dopracowywaniu” w sensie perfekcji AI, tylko o tym, by cały czas patrzeć na ilustrację krytycznym okiem: czy jest wystarczająco prosta w odbiorze, a jednocześnie interesująca formalnie i koncepcyjnie. Przez długi czas w ogóle o tym nie myślałam.

Był taki moment, w którym nie traktowałaś swojego zawodu całkiem serio?

Na studiach w ogóle nie myślałam o tym, co będę robić później. Byli ludzie, którzy mieli już bardzo konkretny plan na siebie i było czuć, że podchodzą do tego naprawdę poważnie. Ja po prostu cieszyłam się, że jestem na fajnych studiach i mogę robić ciekawe rzeczy. Dojrzałość przyszła do mnie dopiero później.

Czy jest tak, że twój styl zmienia się wraz z wiekiem i dojrzewasz? Czy jesteś już na etapie, w którym możesz powiedzieć: „to jest mój styl”?

A może za trzy-cztery lata znowu się zmieni?

Myślę, że teraz właśnie jestem na tym etapie. I cudownie zbiegło się to ze zlece-

niem na ilustracje do Harry’ego. W momencie, kiedy poczułam, że „kurczę, już wiem, o co mi chodzi”, przyszło to zlecenie – idealny timing. Ale na swój styl pracuje się całe życie. Trzeba po prostu „odrysować swoje”, żeby on się naprawdę wyklarował.

Kiedy poczułaś, że to jest to? Taki moment, w którym wiesz: „tak, to jest mój styl i dobrze się z nim czuję”?

Nie ma jednego takiego momentu. To nie jest jak z tą ekonomią, kiedy nagle do mnie dotarło: nie, nie będę ekonomistką. Przy rysowaniu jest inaczej. Coraz częściej pojawiają się momenty poczucia, że twoja własna praca, którą widzisz przed sobą, to jest właśnie to, o co ci chodziło. W końcu te momenty stają się normą. Ale to też nie jest tak, że mam już swój styl – kropka – i tak będę rysować do końca życia. On cały czas będzie się zmieniał, jak wszystko. Będzie ewoluował i zmieniał się w czasie. I to jest fajne.

A jak to wygląda u ciebie z planowaniem życia zawodowego? Czy jako artystka jesteś w stanie zaplanować swoją ścieżkę – powiedzieć, co będziesz robić za pięć lat, co chciałabyś wtedy robić? Czy raczej nie planujesz i po prostu czekasz na to, co się wydarzy?

Różnie. Czasem planuję i to, co zaplanuję, rzeczywiście się wydarza. A czasem planuję, a potem pojawia się coś zupełnie innego, równie ciekawego – i wtedy po prostu idziesz w tę stronę. To wymaga dużej elastyczności – bywa bardzo różnie.

Jesteś w takim momencie życia, w którym możesz powiedzieć: „jest super”? I to nie tylko dlatego, że wydarzył się Harry Potter.

Teraz jeszcze nie. Jestem raczej w takim momencie, w którym czuję, że powinnam zrobić wszystko, żeby wykrzysnąć tę okazję. To nie jest czas relaksu i beztroskiej radości, tylko raczej moment koncentracji i pewnej mobilizacji. Bardziej spiny niż luzu. Bardzo się cieszę, ale nie zajmuję się wyłącznie celebrowaniem radości.

Jestem ciekawa, co przyniesie ci przyszłość i czy Harry Potter okaże się otwarciem drzwi do nowych możliwości.

Mam nadzieję, że tak. I bardzo bym tego chciała.

Gdzie można oglądać twoje rysunki? Czy da się je też kupić?

Oglądać można, kupić jeszcze nie. Do oglądania zapraszam na moje media społecznościowe, na Instagram i Behance.

Jacek Albrecht w Malborku obecnie najbardziej znany jest jako artysta plastyk. Ale z wykształcenia jest konserwatorem zabytków. Pasja do historycznych poszukiwań pozostała w nim do dzisiaj.

- Mieszkańcem Malborka jestem od małego. Zamek to była najpierw fascynacja dzieciństwa, zabawy na zamku, na Starym Mieście. Potem kolejne szkoły, dochodzenie do specjalizacji zawodowej, którą w końcu stała się konserwacja zabytków w zakresie ratownictwa i awarii w konstrukcjach zabytkowych, więc jakąś wiedzę i jakiś pogląd zawodowy też uzyskałem - mówi Jacek Albrecht, autor książki „Malbork przed Krzyżakami”.

Niemiecka i polska perspektywa

Sam tytuł może frapować. Historia przecież jasno głosi, że Malbork zaczął się od Krzyżaków, którzy w latach 80. XIII wieku zaczęli tu budowę zamku, w początkach XIV w. czyniąc z niego stolicę państwa zakonnego.

- Obowiązuje historia tego miejsca napisana przez Niemców z ich perspektywy i jakby dla ich propagandy narodowej. Rozumiem to, szanuję, ale my jesteśmy Polakami i do zajęcia się tematem skłoniła mnie polska perspektywa historyczna, idąc trochę za słowami marszałka Piłsudskiego: „Piszcie swoją historię, bo napiszą ją za was i zrobią to źle” - cytuje Jacek Albrecht.

Mówiąc o niemieckiej perspektywie, ma na myśli badania i prace konserwatorskie przeprowadzone w XIX w., a zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku, gdy zamek był odbudowany w duchu historycznym, rycerskim i krzyżackim. Autor książki podkreśla, że ogrom pracy konserwatorów niemieckich budzi podziw i szacunek, ale wadą jest ograniczenie prac do kompleksu zamkowego.

- Pozostały również obszary, których nie zdążono zbadać i zrekonstruować do wybuchu II wojny światowej, jak duże obszary przedzamcza, czy należące do zamku budowle zewnętrzne, jak zabudowa wzdłuż Młynówki, kościoły, hospicja, cmentarze oraz ogrody i folwarki zamkowe - uważa Jacek Albrecht. - Badacze niemieccy skupili się na dziejach ich nacji na tych ziemiach i takie ich prawo. Nasze natomiast prawo jako Polaków i nasz obowiązek to szukać śladów polskich w historii tej ziemi.

I takich doszukuje się ten malborczyk.

- Ta część Pomezania przed Krzyżakami należała do Pomorza Gdańskiego jako dzielnicy Polski. To jest udowodnione. Ja się nie kłócę, że tutaj inaczej było, niż to jest opi-



Jacek Albrecht uważa, że przed Malborkiem był Zantyr i należał do Polski

PRZED KRZYŻAKAMI BYŁA POLSKA A NIE PRUSOWIE? PASJONAT ŚLEDZI MURY

Specjaliści uznaliby tę koncepcję za historię alternatywną albo po prostu legendę. Historia mówi przecież, że tu, gdzie jest dzisiaj Malbork, dawno temu była Pomezania, zamieszkała przez pruskie plemię podbite przez Krzyżaków. Malborczyk Jacek Albrecht, autor książki „Malbork przed Krzyżakami”, kreśli inną historię: przed zakonem tu była Polska.

Radosław Konczyński

sane przez historyków. Tylko że ciągle krąży opowieść niemiecka, że Krzyżacy przyjechali tutaj, żeby podbić te ziemie właśnie od Prusów. To jest część prawdy. Tak, byli Prusowie, z którymi były wojny, powstania pruskie, ale to wszystko dzieje się bardziej na wschód. Natomiast tu, gdzie my jesteśmy - nie, tu jest Polska. Ale potem oczywiście jest walka na wszystkich frontach, czyli walka propagandowa, walka militarna o to, żeby przejąć ten teren na stronę niemiecką, przy czym ja twierdzę, że Krzyżacy w tamtym okresie, do połowy XIII wieku, są tylko narzędziem, przedmiotem, a podmiotem działań jest cesarz niemiecki - mówi Jacek Albrecht.

I rysuje swój pomysł na obszar dzisiejszego Malborka

przed przybyciem tu Krzyżaków. Jego zdaniem, tu był Zantyr. Nie pruski, nie krzyżacki, tylko polski.

- Wszyscy wiemy, że miasto Malbork przed Krzyżakami nie istniało. Założyli go przecież rycerze zakonnicy, nadając nazwę i prawa miejskie w 1286 roku, co odnotowała kronika Piotra z Dusburga, wprowadzając krzyżacką i znaną jedynie z późniejszych odpisów, ale jej tu raczej wierzymy. Zresztą, Malbork na-

zywał się wówczas Marienburg. Nazwa ta pojawiła się najpierw jako nazwa nowego zamku, do którego przeniósł się konwent z Zantyr, a od niej dopiero przeniesiono ją na miasto - wyjaśnia Jacek Albrecht.

Zantyr był tutaj?

Według autora książki, legendarny Zantyr, w literaturze historycznej umiejscowiony raczej w okolicach Sztumu, istniał właśnie w miejscu dzisiaj-

szego Starego Miasta w Malborku i Zamku Wysokiego. W swoich rozważaniach sięga aż do czasów Bolesława Chrobrego, który przyłączył do Polski Pomorze Gdańskie.

- Jego gród Owidz odkryto niezbyt daleko, bo koło Starogardu Gdańskiego. Profesor Jan Powierski wspomina o nowych badaniach grodzisk w Pomezanii, określających je jako polskie do granicy na Osie i rzece Dzierżoń. Chrobry mógł postawić też gród nad dogodnym brodem nad Nogatem na trasie „szlaku bursztynowego” w miejsce wcześniejszego „miejsca obronnego” przy przeprawie. Biegł ów szlak handlowy od Elbląga na północ do Gdańska i krzyżował się ze szlakiem wodnym od Wisły oraz lądowym biegnącym skarpą rzeczną. Takie skrzyżowanie szlaków w języku starosłowiańskim nazywano według Powierskiego Zantyr - twierdzi Jacek Albrecht.

Jego zdaniem, do połowy XIII w. konkurowały tu cztery siły.

- Był żywioł pruski pokojowo migrujący ze wschodu, zasiedlając puste terytoria leśne na pograniczu z Polską. Był żywioł polski tworzący zręby państwowe od czasu Bolesława Chrobrego obejmujące Pomorze Gdańskie, ale też zachodnią Pomezanię i połowę Żuław. Powstały grody obronne jak grodzisko Owidz w okolicy czy Zantyr. Był też żywioł duński, bo zamierzali oni zamienić Bałtyk w morze wewnętrzne swojego państwa. Zorganizowali w roku 1210 wielką wyprawę krzyżową wybrzeżem zajmując po drodze i hołdując sobie prowincje polskie i osadzając własne załogi w zamkach jak na przykład w Ślupsku. Zakładali też klasztory cystersów, między innymi w Oliwie. Po załamaniu się potęgi Danii reprezentującej interesy papieża pojawił się na scenie żywioł niemiecki, powoli wypierając Duńczyków i ich formy organizacyjne - wyjaśnia Jacek Albrecht.

Autor książki w dzisiejszym Malborku, a jego zdaniem ówczesnym Zantyrze lokuje siedzibę arcybiskupa Prus rzekomo zbudowanym w zamku „na wyspie zantyrskiej”, który miał być siedzibą biskupa Chrystiana. Jednak - jak snuje swoją wersję historii malborczyk - tamto założenie wraz z terenami przyległymi zostało przejęte przez Krzyżaków w wyniku zabiegów dyplomatycznych i propagandowych.

- Wówczas „schowali” katedrę biskupią, zamieniając ją na przerośnięty kościół parafialny miasta. Zamkowi arcybiskupiemu na wyspie zantyrskiej nadali z kolei nazwę Marienburg i powołali do niego na uzyskanych wokół ziemiach nowe komturstwo, likwidując jednocześnie wcześniejsze, istniejące na „papierze” komturstwo zantyrskie. Nie mogli oni

bowiem sami powołać komturstwa na ziemiach chrześcijańskich, ale zamienić się z biskupem na takie to już owszem. Przy okazji nadania prawa chełmińskiego miastu nazwą Marienburg objęli z kolei miasto biskupie, jak i starą siedzibę konwentu zantyrskiego i zlikwidowali starą nazwę tego miejsca - twierdzi Jacek Albrecht.

Metoda rekonstrukcji funkcjonalnych

Impulsem do pisania artykułów, w końcu książek było dla malborczyka odkrycie średniowiecznych relikwów Szkoły Łacińskiej, stojącej na brzegu nad Nogatem, w okolicy zamku.

- To było wydarzenie dosyć duże, ponieważ na dzień samym znaleziono relikty nieodkrywane od średniowiecza, a wiadomo to stąd, że w dolnych partiach pojawiły się warstwy sadzy, spalenizny, a pod nimi elementy drewniane, które odsłonięte na powierzchnię rozpadły się - uważa Jacek Albrecht.

Jak tłumaczy, do swoich prac książkowych wykorzystał autorską metodę rekonstrukcji funkcjonalnych.

- Relikty architektury opowiadają swoją historię każdemu, kto potrafi „czytać mury” i okaże im trochę cierpliwości. Są też najbardziej wiarygodne, mur bowiem był w średniowieczu kosztowny i zawsze stawiany był celowo. Skupiam się właśnie na badawczym rozpoznaniu architektury. Polega ono na tak zwanym „rozwarstwieniu muru”, to znaczy wyodrębnieniu fragmentów z różnych epok lub różnych etapów wznoszenia budowli. Architektura ma tu głos rozstrzygający, a opracowania historyków i archeologów są uwzględniane, ale mają charakter uzupełnień - tłumaczy swoją wizję badawczą Jacek Albrecht.

Autor musi się liczyć z tym, że jego koncepcję przez historyków będą rozpatrywane w kategoriach legendy.

- Ja nie jestem historykiem i nie roszczę sobie pretensji do warsztatu historyka. Jestem badaczem architektury. Historię czerpię oczywiście ze źródeł i opracowań, które są dostępne, ale z nimi nie polemizuję, nie kłócę się z nimi, nie wymyślam swoich wersji, tylko buduję z nich. Jest wersja niemiecka, przejęta przez polską historiografię, która mówi, że tu byli Prusowie podbici przez Krzyżaków, ale to jest wersja antypolska, potrzebna w tamtym czasie, żeby przejąć tereny należące do Polski - podtrzymuje Jacek Albrecht.

To czwarta z serii książek Jacka Albrechta poświęcona Zantyrowi i Malborkowi w średniowieczu. Wcześniej napisał: „Tajemnice Malborka”, „Zantyr a Szkoła Łacińska w Malborku” i „Zantyr - szkice do monografii”.

POLOWANIE NA WAMPIRA

Muzeum Medycyny Sądowej we Wrocławiu wzbogaciło się o niezwykle zestaw przedmiotów do... walki z „żywymi zwłokami”, które należało pozbawić mocy

Konrad Bałajewicz

To nie rekwizyty z filmu grozy, a autentyczne przedmioty sprzed ponad stu lat. Gwoździe, kołki, modlitewnik, krzyże, noże, buteleczki... Taki nietypowy zestaw do unieszkodliwiania wampirów, pochodzący z pierwszej połowy XX wieku, wzbogacił zbiory Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Można go zobaczyć w Muzeum Medycyny Sądowej tej uczelni.

Co zawiera futerał na skrzypce?

Zestaw do polowania na wampiry zapakowany w futerał na skrzypce zakupiono w galerii antyków w Warszawie. Jest unikatowy ze względu na zawartość, ale i pochodzenie. Większość podobnych pakietów do walki z wampirami produkowano w Niemczech, a tymczasem ten w Muzeum Medycyny Sądowej jest wyrobem polskim. Prawdopodobnie nigdy nie został użyty, ale doskonale oddaje klimat epoki i ówczesne ludowe wierzenia związane z wampiryzmem. Istotami, które według popularnych ludowych przekazów żywiły się ludzką krwią.

- Szczyt zainteresowania tematyką wampiryczną przypadła na lata 1900-1920 oraz na lata 50. XX wieku, choć obecnie również motyw wampira przeżywa renesans w sztuce filmowej. Bardzo popularne były wówczas podręczne zestawy, służące do zwalczania wampirów, sprzedawane w walizkach, skrzynkach albo - jak nasz - futerałach na skrzypce. Chodziło o to, by można było łatwo się z nimi przemieszczać i działać w razie potrzeby w miejscu, gdzie znajdują się zwłoki - tłumaczy dr Jędrzej Siuta z Zakładu Medycyny Sądowej UMW i opiekun muzeum.

W pakiecie znajduje się bogaty arsenał ochronny: komplet krzyży, modlitewnik,

świecznik, posrebrzane noże, lustro, drewniane kołki z metalowymi końcówkami do przebijania serca lub czaszki, gwoździe służące prawdopodobnie do przybijania wieka trumny, medalion.

Są też buteleczki. Jedna najpewniej na wodę święconą, druga z resztką nieznanej cieczy. Te ostatnie, podobnie jak medalion, zostaną poddane badaniom naukowym. Zestaw uzupełnia poroże jelenia, zwierzęcia uważanego dawniej za symbol siły dobra.

W walce z istotami nieczystymi szczególną rolę odgrywało srebro. - Do walki z wampirami często stosowano srebro, którego według wierzeń siły nieczyste miały się bać. Ma to poniekąd medyczne uzasad-

nienie, ze względu na właściwości antybakteryjne. Wampiry były obwiniane o roznośzenie zarazy, a kiedy podczas epidemii choroba ominęła jakiś dom, szukano tego przyczyn. Prawdopodobnie „odkryto”, że przed złymi mocami chronią srebrne przedmioty oraz czosnek, który działa jak antybiotyk - mówi dr Jędrzej Siuta.

„Dowody” na wampiryzm

Ludowe praktyki związane z „neutralizowaniem” wampirów były brutalne. Według ludowych wierzeń, zebranych i wykorzystanych później w popkulturze, wampir to „żywe zwłoki”, które trzeba było pozbawić mocy. Współczesna medycyna sądowa na-

zwalaby to bezczeszczeniem zwłok, jednak dawniej miało to zapobiegać nieszczęściom. Dowodem na wampiryzm zmarłego mogły być wszelkie nadzwyczajne zdarzenia, do których dochodziło wkrótce po zgonie: wybuch epidemii czy pomór bydła. Otwierano wówczas grób i do pracy przystępował profesjonalista.

Serca zmarłych, rzekomych wampirów lub ich czaszki, były przebijane, wkładano kamienie lub cegłę do ust. Odcinano nawet głowę i umieszczano ją między nogami zmarłego.

Niektórych podejrzewano o wampiryzm jeszcze za życia. Wampirami miały być osoby chore, z widocznymi deformacjami ciała, chorobowym światłowstrętem, różnym zabar-

wieniem żrenic. Jednak i w takich sytuacjach do neutralizowania złych mocy przystępowano dopiero po śmierci.

- Zdarzało się, że po otwarciu grobu zyskiwano dodatkowy, „niezbity” dowód na wampiryzm zmarłego: brak rozkładu. Jest to możliwe w określonych warunkach, zupełnie niezwiązanych z działaniem nadprzyrodzonych mocy. Wszystkie mają naukowe wytłumaczenie - opowiada dr Jędrzej Siuta.

Najbardziej znanym procesem, który był interpretowany jako dowód wampiryzmu, jest mumifikacja. Polega ona na naturalnym wysuszeniu ciała po śmierci, co skutecznie hamuje rozwój bakterii odpowiedzialnych za rozkład. Do mumifikacji dochodzi naj-

częściej w środowisku suchym, ciepłym i dobrze wentylowanym. Woda z tkanek szybko odparowuje, a ciało zamiast gnić, wysycha. Skóra staje się ciemna i napięta, rysy twarzy wystrząsają się, a zwłoki mogą zachować swój kształt przez dziesiątki, nawet setki lat.

Innym zjawiskiem, które budziło lęk i podsycalo wiarę w istnienie wampirów, była przemiana torfowa, nazywana również bagienną. Zachodzi ona w środowisku torfowisk i bagien, gdzie panują specyficzne warunki chemiczne. Torf zawiera substancje, które hamują aktywność mikroorganizmów rozkładających ciało. W efekcie zwłoki nie ulegają klasycznemu rozkładowi, lecz konserwacji. Skóra i włosy potrafią zachować się w bardzo dobrym stanie, podczas gdy kości stopniowo mięknią.

Trzecim procesem jest przeobrażenie tłuszczowo-woskowe, czyli powstawanie tzw. tłuszczowosku. Dochodzi do niego w warunkach wilgotnych i beztlenowych. Tłuszcze zawarte w tkankach ulegają wówczas przemianie chemicznej w woskato-mydlaną substancję, która tworzy na ciele ochronną skorupę. Tłuszczowosk spowalnia dalszy rozkład, zachowując kształt tkanek. Przykłady wszystkich tych zjawisk można zobaczyć w Muzeum Medycyny Sądowej UMW.

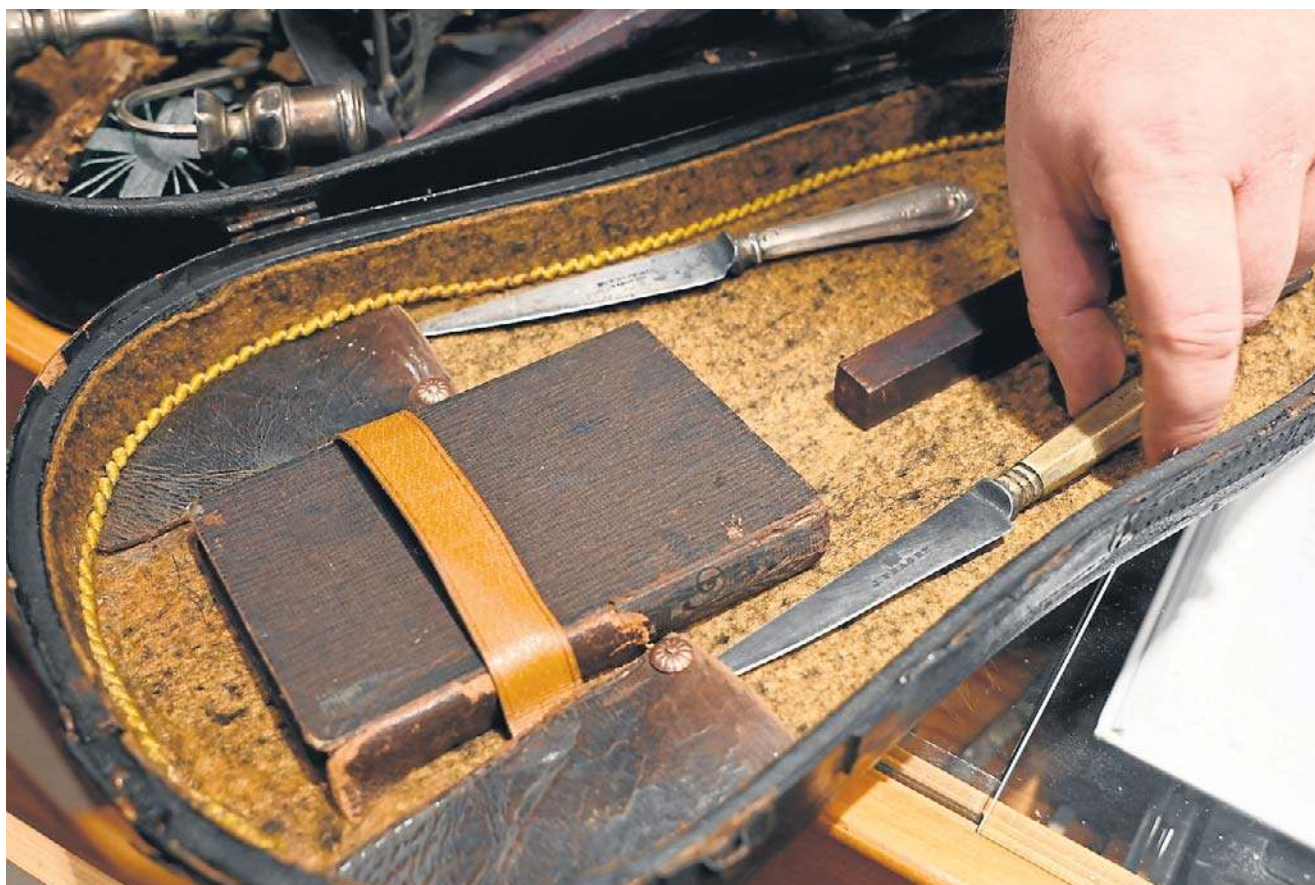
Polowań nie będzie

- Nie będziemy polować na wampiry. Nasz zestaw, który wzbogacił zbiory Muzeum Medycyny Sądowej UMW, posłuży jako punkt wyjścia do opowieści o dawnych wierzeniach ludowych, pochówkach wampirycznych, ale także innych zagadnień związanych z medycyną sądową. Będzie także obiektem badań naukowych, ponieważ kryje w sobie niejedną tajemnicę - zapewnia dr Jędrzej Siuta.



Zestaw do polowania na wampiry zapakowany w futerał na skrzypce prezentuje dr Jędrzej Siuta z Zakładu Medycyny Sądowej UMW i opiekun muzeum

FOT. ANETA KOLESINSKA



Pozyskany do wrocławskiego muzeum zestaw jest specyficzny, bo wytworzony w Polsce. Tymczasem większość takich produktów pochodziła z Niemiec

FOT. ANETA KOLESINSKA

JESZCZE JEDEN MAZUR DZISIAJ! BYŁY BALE W KARNAWALE

Jeśli ktoś myśli, że w karnawale umiemy się szampańsko bawić, jest w błędzie. Co tam domówki, clubbing, dyskoteki czy nawet eleganckie bale. To zaledwie namiastka tego, jak imprezowano w wiekach minionych. Nasi przodkowie przed postem musieli odreagować, więc bawili się szaleńczo. Polska szlachta wyspecjalizowała się w kuligach, łączących napad z bronią w rękę, potańcówkę i uprowadzenie

Grażyna Antoniewicz

Suty, hałaśliwy i pełen tańca - taki był karnawał w Polsce wieku XVII i XVIII. Na kilka tygodni wszystko stawało na głowie, a rządy sprawowała królewska para: absurd i groteska. Panowało powszechne obżarstwo, wiele pito, a normy obyczajowe ulegały rozluźnieniu. Bawili się zresztą wówczas wszystkie stany.

Rzeźnicy z toporami

Głośne były bale karnawałowe w Gdańsku. Najślawniejsze urządzano w Dworze Artusa i w domach cechowych: „Na jednej ulicy kuśnierze poprzebierani za Murzynów, ustrojeni w korony ze świecetek na głowach i obręczami w rękach, produkowali słynny zespołowy taniec - moreskę. Na drugiej występowali, skacząc i płaszając, rzeźnicy, potrząsając groźnie swymi toporami. Gdzie indziej jeszcze szyprowie prezentowali taniec marynarzki z obnażonymi mieczami” (za M. Bogucką „Życie codzienne w Gdańsku w XVI-XVII wieku”).

Z karnawałowych zabaw słynął wiek XIX. Ożywiały się wówczas salony i restauracje. Bale, dancingi, rauty, wieczorki tańczące - bawiono się chętnie, z wdziękiem i elegancją. Panie wdziewały piękne suknie, panowie fraki czy smokingi. Bal obowiązkowo zaczynał się polonezem - w pierwszej parze tańczyli najznakomitsi goście. Tańczono polki, kadryle, walce, a kończono nad ranem białym mazurem. Nie mogło zabraknąć, oczywiście, tańca kotylionowego. Losowanie kotylionów bywało często ustawiane, aby połączyć określone osoby. Tańce kotylionowe stanowiły więc dla wodzireja źródło dodatkowych



Śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska na dobroczynnym balu prasy łotewskiej w Rydze. Od lewej siedzą: konsul RP w Rydze Jan Ryniewicz, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny RP na Łotwie Franciszek Charwat, attache prasowego poselstwa RP w Rydze radca Ksawery Glinka, śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska oraz poseł sowiecki w Rydze Stiepan Brodowski

dochodów. Pewien wodzirej z warszawskiej Adrii otrzymał podobno złotą papierośnicę od znanego warszawskiego przemysłowca za umożliwienie mu zatańczenia kotylionowego walca z prześliczną panią Tomasini, żoną ambasadora Włoch.

Giełda małżeńska

Lata 70. XIX wieku przyniosły pochodzącą z Francji modę na bale maskaradowe. Przebiegano się przeważnie za postacie historyczne, bohaterów zna-

nych powieści, rozbójników itp. Sunęły więc po sali piękne Greczynki w antycznych strojach, w objęciach piratów lub korsarzy.

Bale stanowiły dla młodych panien rodzaj giełdy małżeńskiej, na której mogły zaprezentować swoje wdzięki, oczywiście pod czujnym okiem mam, ciotek, babek (tzw. przyzwoitek), które pilnowały, aby kandydat do ręki miał odpowiednie koligacje rodzinne i majątek.

Magdalena Samozwaniec (cóрка malarza Wojciecha Kos-

saka), wspominając bale z początku ubiegłego wieku, pisała, że panienki miały zwyczaj występować w jednej sukience w ciągu całego karnawału. W ostatki „dziewicza biel” takiej kreacji była już mocno przyszarzała.

Bale, dancingi, rauty, wieczorki tańczące i inne przyjemne chwile to czas, kiedy kobieta mogła pokazać nowe kreacje i zawrzeć interesujące znajomości. Oczywiście, dotyczyło to głównie panien i kobiet wolnych.

Hejnał o północy

Słynne były bale w kasynie oficerskim II Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich, który stacjonował w Starogardzie Gdańskim.

- W okresie międzywojennym życie polskiej kawalerii nie ograniczało się wyłącznie do służby wojskowej i walk na polach bitew - opowiada Dariusz Michalski z Muzeum Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. - Oficerowie i ich rodziny tworzyli aktywne środowisko społeczne, w którego centrum znajdowały

się kasyna oficerskie - miejsca spotkań, uroczystości, zabaw oraz balów pułkowych. Kasyno to nie miało nic wspólnego z hazardem - jego nazwa wywodzi się od włoskiego „casino” oznaczającego „mały dom” lub salę spotkań - kontynuuje swoją opowieść Dariusz Michalski. - W kasynie organizowano m.in. koncerty, bale i zabawy taneczne. Bale pułkowe były ważnymi wydarzeniami towarzyskimi. Uczestnikami byli oficerowie pułku i ich rodziny oraz zaproszeni goście, lokalne elity. Ważnym elementem balu była muzyka orkiestry wojskowej. Grano tradycyjne utwory taneczne tamtej epoki: walce, polki, fokstroty i marsze. Na sali dominowały mundury galowe, a panie obowiązkowo miały kreacje wieczorowe.

Różne były zabawy i ceremonie towarzyszące balom, np. odgrywanie hejnału o północy. Stanowił on element tradycji kawalerskiej. Kiedy na zegarze wybijała północ, na salę wkraczał pułkowy trębacz i odgrywał hejnał mariacki na pamiątkę utworzenia pułku w Krakowie, podkreślając tym samym szwoleżerskie związki z tym miastem.

Przez dziurkę od klucza

Wspinała aktorka Bogusława Czosnowska tak wspominała pewien bal:

- Ponieważ ojciec był legionistą, rodzice zostali zaproszeni na Bal Legionistów, który odbywał się w salach Urzędu Województwa Lwowskiego. Wtedy drugi raz widziałam tatę we fraku. Na tym właśnie balu razem z siostrą miałyśmy popis taneczny - nie za pieniądze, ale za pudełko czekoladek.

Młode damy wystąpiły wspólnie z „Wesołą Lwowską Fałką”, czyli Szczepciem i Tońciem.



FOT. ARCHIWUM

„Po co jeździć gdzie indziej, kiedy w Sopotach jest najpiękniej!” – tak się reklamował karnawał w słynnym kurorcie

- Po programie artystycznym dorośli bawili się, a nas umieszczono w cichym pokoiku, żebyśmy spokojnie przespali noc. Moja siostrzyczka i owszem, położyła się spać, ale nie ja! Musiałam ten bal zobaczyć. Po długich poszukiwaniach znalazłam właściwe drzwi i przez dziurkę od klucza śledziłam to, co na sali się działo. A było na co popatrzeć: fraki, galowe mundury, lśniące brylantami toalety, a wszystko rozświetlone blaskiem żyrandoli - rozmarza się Bogusława Czosnowska. - Wodzirejem był wąsaty pułkownik Śniadowski. Do munduru miał przypięty kotylion. Bal rozpoczął się oczywiście polonezem, a zakończył nad ranem białym mazurem.

Sopocki karnawał

- Karnawał zawsze był czasem wyjątkowym, troszeczkę wyjętym z dnia codziennego - opowiada historyk Michał Słubowski z Muzeum Miasta Sopotu. - Oznaczał czas zabawy. Czas, w którym naturalny porządek dnia codziennego był zaburzony. Organizowano zabawy. W mieście były popisy zręcznościowe, na placu stawiano długi słup wymazany ja-

kimś olejem i trzeba było wspiąć się na niego i zdjąć z wierzchołka kielbasę. Były też popisy aktorów. Takie zabawy lub występy były organizowane przez bractwa religijne czy rzemieślnicze. Na czas karnawału nauczyciele gimnazjum akademickiego przygotowywali z uczniami sztuki teatralne, które grane były na ulicy. - W karnawale bawiono się bowiem nie tylko w pomieszczeniach zamkniętych, ale też na wolnym powietrzu.

- W wieku XIX i XX niezwykle popularne stały się lokale rozrywkowe, kawiarnie, kluby i teatry, w których w okresie karnawału organizowano bale. Takim miejscem w Gdańsku była kawiarnia Dera (Cafe Derra), lokal przy ul. Kartuskiej 22/24 - opowiada Dariusz Michalski. - Ten budynek, choć mocno przebudowany, nadal stoi. I właśnie tam albo w dawnym teatrze Salonka - Teatrze Wilhelm, dawniej Selonke Theater przy Langgarten 31A (ul. Długie Ogrody) organizowano zabawy karnawałowe.

W okresie międzywojennym słynny sopocki karnawał był inicjatywą oddolną. Był to czas, gdy Wolne Miasto

W WIEKU XIX I XX POPULARNE STAŁY SIĘ LOKALE ROZRYWKOWE, KAWIARNIE, KLUBY I TEATRY, W KTÓRYCH W KARNAWALE ORGANIZOWANO BALE

Gdańsk borykało się z różnymi problemami, głównie ekonomicznymi. Dlatego ważne było przyciągnięcie turystów zimą do Sopotu. Postanowiono więc zorganizować karnawał. W 1921 roku grupa przedsiębiorców (hotelarzy i restauratorów) zorganizowała pierwszy. Inspiracją były karnawały w Nadrenii. Wystartował on na początku lutego, zaczął się oczywiście od balu, który zorganizowano w Domu Kuracyjnym. Elementem tego karnawału był pochód ulicami Sopotu. Mimo że była zima. Zachęcano, żeby się odpowiednio, pomysłowo przebrać. Stroje kolorowe i efektowne musiały być wcześniej zatwierdzone przez organizatorów. Podczas karnawału był też pokaz mody damskiej, a ostatniego dnia tej imprezy odbywał się bal maskowy.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Fotografia grupowa uczestników zabawy karnawałowej. Wśród obecnych widoczny m.in. gen. bryg. Stanisław Bernard Mond (z prawej)

balu powinien być pojawić się wodzirej.

„Był raz bal na sto par, pan wodzirej wprost szalał po sali. Kółko raz, koszyk dwa, a pod oknem samotnie bez pani siedział pan, smutny pan, taki, co to nie pije, nie pali, a tłum szalał, hiszpański walc cud ten wyprawił...” - śpiewał Jerzy Potomski.

Takim znakomitym wodzirejem był aktor Teatru Wybrzeże Stanisław Michalski, który opowiadał mi przed laty: - Lubiłem śpiewać i tańczyć. Kiedyś, gdy robiłem na aktorskim przyjęciu, redaktor z „Dziennika Bałtyckiego” zaproponował mi poprowadzenie balu dziennikarzy w sopockim Grand Hotelu. Zamarłem, mam być wodzirejem na najbardziej prestiżowym balu na Wybrzeżu? Nie spałem po nocach, ale w końcu zgodziłem się. Ułożyłem sobie plan - muszę zacząć polonezem, a zakończyć mazurem.

Wkrótce poczułem się ekspertem, ale szybko sprowadzono mnie na ziemię. Sądziłem, że znam figury mazura. Myliłem się. Na jakimś balu starszy, dystyngowany mężczyzna spytał: Czy pozwoli pan, że razem zatańczymy? Ja będę udawał kobietę, a pan po-

prowadzi. Zdumiony zgodziłem się. Potem nastąpiła zamiana ról. Jak on tego mazura wykręcał! Zaczęliśmy tańczyć dookoła sali. Dostaliśmy niesamowite brawa. Wszyscy ruszyli za nami na parkiet. Była godzina piąta rano.

Królowa balu

Odwunastej był zawsze wybór miss balu. Zwykle wręczałem 10 dużych serc i panie wchodziły na podium z serduszkami. Wielbiciele stawiali za nimi. Ta dama, która miała za sobą najdłuższy ogonek, zostawała królową.

- Największy bal prowadziłem dla Stoczni Gdańskiej na lodowisku. Kłębili się tłum, nikt nikogo nie mógł znaleźć - wspominał. - Ogłaszałem dramatyczne komunikaty: „poszukuję mojej żony” lub „zginęła zielonooka brunetka, ma na imię Stasia”. Wspaniałe były bale Akademii Medycznej. Ślicznie bawili się leśnicy. Kiedyś salę w sopockim Grand Hotelu zamienili w las. Stały choinki, a wśród drzew zwierzęta.

Jednak, czy zabawa będzie udana, zależy nie od wodzireja, ale od towarzystwa. Więc może to być impreza równie wspaniała, jak najwspanialszy bal.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uczestnicy balu - m.in.: gen. Leonard Skierski (w środku w 1. rzędzie), płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski (2. z prawej w 2. rzędzie), gen. Gustaw Orlicz-Dreszer (1. z prawej w 3. rzędzie), ppłk Jan Karcz (1. z lewej w 3. rzędzie) oraz ppłk Janusz Albrecht



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uczestnicy balu 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Widocznymi m.in.: gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski (klęczy z lewej), płk Antoni Trzaska-Durski (stoi 5. z prawej), żona płk. Trzaski-Durskiego (stoi 6. z prawej)

Jak faszystowska propaganda stworzyła bohatera

W latach 30. w III Rzeszy utwór „Horst-Wessel-Lied”, był drugim co do ważności utworem po hymnie państwowym. Kim był Horst Wessel i skąd jego tak wysoka pozycja?

Mariusz Grabowski

Najkrócej mówiąc Wessel był hitlerowskim hero-sem, zmarłym 23 lutego 1930 r. w Berlinie, w wieku 23 lat, w wyniku postrzelenia przez komunistę Albrechta Höhlera. Jego sława zaś to wynik skutecznej propagandy nazistów, która pod imieniem Horsta jednoczyła rzesze niemieckiej młodzieży. Na plakatach Wessel prezentował się jako ideał germańszczyzny: wysoki blondyn w uniformie SA, dumnie i bez strachu patrzący w przyszłość.

Jak się rodzi mit

Przytoczmy fragment „Horst-Wessel-Lied”, wtedy jeszcze „Die Fahne hoch!”, pełne żaru i ideologicznej socjalistyczno-narodowej emfazy:

„Chorągiew wzniesi! Szeregi mocno zwarte! / SA maszeruje spokojnym, równym krokiem. / Kamraci rozstrzelani przez Czerwony Front i reakcję,

Maszerują w duchu w naszych szeregach.” Słowa te w 1929 r. napisał właśnie Horst Wessel, wówczas dowódca berlińskiej bojówki SA. Szybko dorobiono doń muzykę ze starych piosenek ludowych (niektórzy doszukują się tu muzyki z opery „Joseph et ses frères” Étienne-Nicolas Méhula z 1807 r.), ale ostatecznie pieśń miała żywą, marszową melodię. Tekst zawierał typowy zestaw faszystowskich motywów, takich jak flaga i rzesze ludzi maszerujących w zwartych szeregach. Głosił nawet nieco złowrogo, że duchy członków SA zamordowanych przez komunistów i reakcjonistów towarzyszą żywym w ich pochodzie.

Męczennik jak ulal

Pieśń została wykonana publicznie po raz pierwszy w Berlinie 26 maja 1929 r., a we wrześniu jej słowa ukazały się anonimowo w prowadzonej przez Josepha Goebbelsa gazecie „Der Angriff”. Nieco wcześniej Horst Wessel, już opromieniony legendą osobie poprowadził swoją bojówkę w czasie parady na zjeździe NSDAP w Norymberdze.

Brytyjski historyk Roger Moorhouse w tomie „Trzecia Rzesza w 100 przedmiotach” sugeruje, że Wessel skutecznie przyspieszył swoją karierę. Ponoć zimą 1929 r. młody nazista napi-

sał do samego Adolfa Hitlera. Jako prezent noworoczny wysłał mu swoją fotografię w mundurze SA, list przewodni skierowany do „Mojego Wodza” i ręczny zapis nut do swej pieśni wraz ze słowami pierwszej zwrotki i własnym podpisem.

Już wkrótce nazwisko Wessela rzeczywiście stało się powszechnie znane w całych Niemczech, Ale nie dlatego, że Hitler zachwycił się prezentem (podobnych musiał otrzymywać sporo), ale z faktu, że młody nazista został postrzelony przez komunistycznego zamachowca. Wessel stracił w wyniku postrzału większość podniebienia i górnej szczęki. Nim zmarł z zakażenia, jeszcze ponad pięć tygodni leżał w szpitalu. To wtedy uznano go za męczennika.

Nazista z przekonania

W 1926 r. 19-letni Wessel zaczął studia prawnicze na berlińskim Friedrich-Wilhelm Universität. Został członkiem korporacji studenckiej Corps Normannia w Berlinie i Corps Alemannia w Wiedniu. Szybko i z przekonania wstąpił do SA, czyli Die Sturmabteilungen der NSDAP - Oddziałów Szturmowych Narodowo-socjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników. Jego zadania polegały głównie na obchodzeniu barów i kawiarni wokół Alexanderplatz i pozyskiwaniu nowych sympatyków oraz członków do wymienionych organizacji i tworzeniu grup młodzieżowej organizacji Hitlerjugend.

Kiedy w styczniu 1928 r. władze miejskie Berlina, usiłując ukroczyć potyczki uliczne zakazały działania SA, Wessel został wysłany do Wiednia w celu organizowania tam ruchu młodych nazistów. Po powrocie do Niemiec organizował brutalne ataki na działaczy robotniczych, w tym na kwaterę główną komunistów w dzielnicy Friedrichshain w Berlinie.

W październiku 1928 Wessel przerwał po czterech semestrach swoje studia prawnicze i poświęcił się zupełnie ruchowi nazistowskiemu. Utrzymywał się z prac dorywczych, pracując m.in. jako taksówkarz i jako kopcacz przy budowie metra. „Ze względu na swe zdolności organizatorskie i oratorskie oraz swą jawną gotowość do przemocy,



W pogrzebie Horsta Wessela wzięło udział 30 tys. ludzi. Dziś wykonywanie jego pieśni w Niemczech jest całkowicie zakazane i grożą za to kary

stał się wkrótce najbardziej znanym nacionalistycznym agitorem w Berlinie” - pisze Thomas Oertel w tomie „Horst Wessel: Untersuchung einer Legende”.

„Rozstrzelani przez komunę”

Wyniesienie Wessela na ołtarze narodowego socjalizmu miało przy okazji - to kolejna sugestia Moorhouse'a - przykryć dość wstydliwą historię. Komuniści w swojej kontrpropagandzie starali się bowiem wpłynąć na powszechny odbiór całego zdarzenia, przedstawiając je jako rezultat kłótni o niejaką Ernę Jänichen.

Dowodzili, że nie było żadnego zamachu na tle politycznym, ale zatarg między dwoma sutenerami o prostytutkę, w który wmięszał się Wessel. W odpowiedzi Goebbels zaczął gloryfikować go jako poległego bohatera, wschodzącą gwiazdę strąconą z firmamentu przez nikczemnych komunistów, młodzieńca, którego śmierć może inspirować. „Nasze szeregi po cichu spłynęły bohaterską krwią, a jednak nasze oczy nigdy nie były tak ciepłym i radosnym blaskiem” - pisał Goebbels. Kult zabitego nazisty potęgowały jakby

prorocze wersy jego utworu: „a rozstrzelani przez komunę i reakcję są pośród nas, i dumny jest nasz wzrok”. Tak narodziła się „Horst-Wessel-Lied”.

Goebbels, ówczesny szef NSDAP w Berlinie i Brandenburgii, a niebawem szef propagandy nazistowskich Niemiec, odwiedził Wessela w szpitalu tuż przed śmiercią. Wpis w jego dzienniku z dnia śmierci Wessela brzmiał: „Oto nowy męczennik III Rzeszy”.

Pomniki i okręty

Podczas pogrzebu Wessela, w którym wzięło udział ponad 30 tys. ludzi, członkowie SA odśpiewali „Horst-Wessel-Lied”. W późniejszym czasie pieśń była regularnie wykorzystywana podczas uroczystości partyjnych, jak również śpiewana przez członków bojówek SA w trakcie ulicznych pochodów i nocnych przemarszów z pochodniami.

A sam Wessel stał się ikoną. Jego imieniem nazwano ulicę i stację metra w Berlinie, szpital, w którym zmarł, a także dzielnicę Friedrichshain, odtąd niszczącą miano Horst-Wessel-Stadt. 18. ochotnicza dywizja grenadierów pancernych Waffen-SS, sfor-

mowana w 1944 r. miała w nazwie jego nazwisko. Na rynku pojawiła się nawet jego propagandowa hagiografia, w której został przedstawiony jako... Jezus, a jego matka jako Dziewica Maria.

Na stokach wzgórz w legendarnym Lesie Teutoburskim, gdzie prawie 2 tys. lat wcześniej, w 9 r. po Chrystusie Germanie zmasakrowali legiony rzymskie pod dowództwem Warusa, stanął kilkudziesięciometrowy pomnik Wessela. W każdym niemieckim domu znaleźć można było płytę ze słynną pieśnią.

Co ciekawe, jego imieniem nazwano także trójmasztowy bark, który został zbudowany w 1936 r. w Hamburgu jako szkolny okręt Niemieckiej Marynarki Wojennej. Po wojnie statek przejęła Straż Wybrzeża Stanów Zjednoczonych, pod banderą której pływa do dziś pod nazwą „USCGC Eagle”.

Polskie echa

Propaganda Wesselowska dotarła też poza granice Niemiec. Wydawany w Bielsku śląski tygodnik „Na Straży” 6 grudnia 1936 r. zamieścił na pierwszej stronie tekst „Hors Wessel Lied”, alarmujący w kwestii hi-

tlerskiej propagandy w Polsce. Ilustrował go rysunek hejlującego esesmana.

„Z niesłychanym rozmachem rozbudowały się i rozwinęły niemieckie banki, szkolnictwo i spółdzielnie...

Zniesłychanym rozmachem wykupiono ile się dało polskiej ziemi, domów i przedsiębiorstw...

Zniesłychanym rozmachem zorganizowano dziesiątki zjazdów, na których, wśród grzmiących okrzyków: »Heil Hitler« i »Zurück zum Reich!« chyliły się lasy sztandarów... ze swastyką...

Proces hitlerowców śląskich w Katowicach, usiłowanie odebrania Śląska od Polski jest finałem i prostą konsekwencją tych parad w rytmie »Horst Wessel«”.

Został wstydy

Komunista Albrecht Höhler, skądinąd osobnik z bardzo zaszarganą kryminalną przeszłością, został skazany za mord na Wesselu na sześć lat i miesiąc więzienia. Bronił go słynny adwokat Alfred Apfel. Lewicujący prawnik występował wcześniej jako obrońca m.in. oskarżonego o morderstwo komunistę Maxa Hölza, skonfliktowanego z niemieckim wymiarem sprawiedliwości artysty George'a Grosza czy pisarza Johannes Bechera.

Po przejściu władzy przez nazistów w 1933 r. Höhler został zastrzelony przez SA-manów podczas transportu do zakładu karnego w Wohlauf (dzisiejszego Wołowa). Ciekawostką jest fakt, że wielu historyków jest przekonanych, że wśród zabójców był August Wilhelm książę Hohenzollern, syn ostatniego niemieckiego cesarza Wilhelma II.

Po zakończeniu wojny pamięć o Horście Wesselu, który sprzedał swój talent w służbie rodzącemu się ludobójczemu imperium, natychmiast przemięła. Dziś pozostał po nim tylko grób, niepozorny kawał zniszczonego granitu na cmentarzu we wschodnioberlińskiej dzielnicy Prenzlauer Berg. Pieśń jego autorstwa jest dziś w Niemczech zakazana. Jej publiczne wykonywanie (także samej melodii), jest karane zgodnie z przepisami §86 i §86a Strafgesetzbuch, czyli niemieckiego kodeksu karnego.

pod PARAGRAFEM

W KINACH

Kulisy sprawy Maxa Lindera

16 stycznia do kin wchodzi polsko-francuski dokument „Życie i śmierci Maxa Lindera” w reż. Edwarda Porembnego. Max ma wszystko: jest światowej sławy bogatą gwiazdą filmową, jest żonaty z bardzo młodą i seksowną kobietą, z którą ma córkę. Jednak 1 listopada 1925 r. świat nagle dowiaduje się, że Max Linder i jego żona, Ninette Peters, popełnili samobójstwo.

ZA TYDZIEŃ

Peaky Blinders: czas brutalni w kaszkietach

W popularnym serialu Tommy Shelby i jego ludzie przypominają gangusów ery prohibicji. Niewiele ma to wspólnego z prawdą historyczną



FOT. MATPRAS.

Wielki pożar Krakowa w lipcu 1850 r. Przypadek czy podpalenie?

Bożenna Piskała
redakcja@polskatimes.pl

Owego feralnego lata spłonęło 10 proc. zabudowy miasta: 160 kamienic i domów, pałac Biskupi i pałac Wielopolskich, kościoły św. Franciszka z Asyżu, Świętej Trójcy, św. Norberta i św. Józefa.

Pożar wybuchł 18 lipca w młynach przy ul. Krupniczej, czyli na zachód od centrum miasta. Potem stało się – jak pisał kronikarz – „coś dziwnego”. Oto w upalny dzień zaczął nieoczekiwanie wiać silny wiatr, który błyskawicznie rozprzestrzenił pożogę w kierunku środka Starego Miasta. Od wielu tygodni nie spadła ani kropla deszczu, dachy były suche jak siano, a niemal całe Śródmieście pokrywała łatwopalna dachówka gontowa. Wystarczyło kilka minut, by pożar ogarnął miasto. Z dymem poszły klasztory oo. Dominikanów, Franciszkanów i ss. Bernardynek. Oprócz wyposażenia wewnątrz tych świątyń utracono też cenne kolekcje dzieł sztuki i księgozbiory, zgromadzone w domach prywatnych. Pożar przyniósł ogromne straty materialne, spłonęło wiele mieszkań, sklepów i magazynów, wraz z którymi przepadły majątki całych rodzin. Jak donosił krakowski „Czas”: „Z kilku domów wznosi się ciężki dym, tu i ówdzie pali się belka lub futryna od okna. Mury i kominy sterczą nagie, czarne, popalone, jako krzyże nad mogiłami dawnej egzystencji”. W długiej relacji Janiny Bieniarzówny ogień dotarł też na ul. Wiślną, gdzie zajął dachy kamienicy „Pod zającem”, drukarni uniwersyteckiej oraz szkoły technicznej.

Nastała apokalipsa

Jak zapisał Jerzy Zathę w „Pamiętnikach polskiej rodziny”, mieszkańcom na myśl przychodziła biblijna Apokalipsa. Wiatr ciskał w powietrze tym, co znajdowało się na poddaszach i w lokalach płonących kamienic. „Rupiecie, odzież i papiery nagromadzone przez lokatorów, gonty oraz przepalone



FOT. CC

Teodor Stachowicz: „Śródmieście w płomieniach dnia 18 lipca 1850 r”. Ratowanie płonących ulic: Franciszkańskiej, Szerokiej, Grodzkiej

orzechy włoskie, które na dzień służyły jako opał, fruwały z budynku na budynek. Płonęły drewniane ganki, schody, stajnie i szopy przytulone do mury wanych kamienic”.

„Widok to był nie do opisanie! Tam mieszkańcy wyrwają się spośród płomieni, co jeszcze ratować się dało; dalej wojsko całe pod bronią; tu lud korażący się przed Bogiem Zastępów i o miłosierdzie nad resztą biednego miasta błagający!” - donosił „Czas”.

Z kolei historyk Fryderyk Hechel zauważał: „Gdyby w czasie palenia się wiatr na inną stronę miasta skierował się, całe miasto poszłoby w perzynę”. W biały dzień południowa część rynku płonęła w najlepszej, a z Sukiennic zrzucano dach, by zapobiec jeszcze większej katastrofie, bo w środku zgromadzono towary, m.in. ogromne ilości spirytusu.

„Straszny był widok”

Wiatr osłabł dopiero w nocy, a wraz z nim płomienie, jednak zagrożenie wciąż było realne. O świcie okazało się, że pożar zniszczył dwa klasztory, pałace i 153 inne budynki, w tym ka-

mienice, stajnie, magazyny i sklepy. Wielu mieszkańców w jednej chwili straciło dorobek życia. „Każdy ocalały dom, każdy stryszek, a nawet piwnice przepełnione były ludźmi, którzy znaleźli się bez dachu nad głową” - wspominała dni po pożarze pochodząca z Krakowa aktorka Helena Modrzejewska w książce „Wrażenia i wspomnienia”.

Karolina Małas w tekście „Wystarczyła chwila, by Kraków zapłonął”, (Onet, 18 lipca 2025 r.) zauważa: „Walka z mniejszymi pożarami trwała jeszcze przez kilkanaście godzin, a ostatnie pogorzelisko zostało wygaszone dopiero pięć dni później. Tragedia zwróciła uwagę władz miasta na poważny problem, bo już na początku akcji gaśniczej okazało się, że Kraków dysponował tylko trzema sikawkami, a oddział straży pożarnej liczył tylko kilka osób i nie nadążał z gaszeniem, nawet mając do pomocy tzw. kolumnę ogniową, złożoną z krakowskich czeladników i robotników”.

„Czas” nr 167 z 23 lipca 1850 r. ubolewał: „Straszny jest widok naszego miasta: jako zamki porozwalane sterczą czarne, okap-

ujące mury, a przez okna wyzierają stosy zsypanych rumowisk, pod którymi przepadły na długo, może na zawsze majątki naszych obywateli. Ze zgłiszczów kurzą się jeszcze gdzieś dymy, tli się w pułapach ostatni ślad tej fatalnej plagi, która główną część miasta naszego w perzynę obróciła”.

Policzono ofiary

W trakcie pożaru zginęło pięć osób - wszystkie straciły życie 18 lipca. Ich tożsamość udało się ustalić dzięki tekstom zawartym w „Czasie”. W żywole śmierć ponieśli: małżeństwo Żebrowskich - zginęli w swoim szynku na Gołębiej, którego nie chciał opuścić mąż; starsze wiekiem małżeństwo Ziobrowskich - zaskoczeni ogniem nie zdążyli opuścić swojej kamienicy na Gołębiej; niejaki Filipowski, właściciel domu na Stolarskiej, starszy wiekiem, z racji choroby został przeniesiony do klasztoru dominikanów (jako bardziej bezpiecznego miejsca), lecz gdy pożar ogarnął i te zabudowania, nie zdołał się uratować.

Do tej listy ofiar można też dodać 60-letnią służącą urzędnika Zakrzewskiego, która ucieka-

jąc z płonącego domu, wyskoczyła przez okno i zmarła w wyniku odniesionych obrażeń. Oprócz tego w „Czasie” znalazły się wzmianki o śmierci kilkorga dzieci, lecz nie zostały one potwierdzone.

Liczba rannych jest dokładnie nieznana, z pewnością jednak była dość znaczna. Ludzie odnosili obrażenia zarówno uciekając przed ogniem, jak i próbując z nim walczyć. Wiadomo jedynie, że podczas akcji gaszenia pożaru 15 spośród krakowskich policjantów zostało rannych, jeden zaś miał ponieść śmierć, ale informacja ta nie została potwierdzona. Prócz tego kilku uczestników akcji gaszenia pożaru na Kleparzu 26 lipca odniosło dotkliwe obrażenia.

Na tropie podpalaczy

Jeszcze w trakcie pożaru, krakowski „Czas” podawał, że aresztowano podejrzaną osobę, które mogły wzniecić ogień, co miały potwierdzać znalezione przy nich przedmioty. 18 lipca generał-major Hławaczek, dowódca garnizonu, osobiście zatrzymał mężczyznę z siarką, świecą i paczką prochu, owiniętą w bawełnę. Natomiast mecenas Boguński, właściciel kamienicy nieobjętej jeszcze pożarem, złapał 10-letniego chłopca, który próbował wbiec na strych budynku z łatwopalnymi materiałami. Trzymano ich w odwachu przy Wieży Ratuszowej lub w Krzysztoforach, pełniących funkcję koszar wojskowych.

19 lipca pod kościołem Mariackim znaleziono podrzuconą siarkę. Krążące wśród ludności plotki mówiły, że ogień w kościele św. Józefa miał pojawić się nie od zewnątrz, ale na strychu, zaś kościół oo. Dominikanów ponoć zaczął palić się od strony ul. Szerokiej, kiedy ta jeszcze nie była objęta płomieniami.

Na Krowodrzy omal nie doszło do samosądu nad mężczyzną, przy którym znaleziono proch. Aby uspokoić ludność, dowództwo garnizonu zapowiedziało wprowadzenie sądu wojennego, który w ciągu doby osądzi i skaze ewentualnych podpalaczy. Informacja o tym

spotkała się z przychylną reakcją mieszkańców miasta.

Jednak przypadek?

Jednakże, jak wykazało później oficjalne śledztwo, w „grę nie wchodziły sprawy kryminalne ani polityczne” - pożar miał „rozpocząć się przypadkowo”, a jego nieumyślnymi sprawcami byli młynarczyk Piotr Fici i Jan Trójka, terminator u kowala Ignaszewskiego. Taki oficjalny raport wydrukowano w 181 numerze „Czasu” z 8 VIII 1850 r. na pierwszej stronie.

Wedle raportu śledczego „tego dnia pracowali nad dopasowaniem żelaznej obręczy na wał koła młyńskiego, którą w tym celu musieli rozgrzać. Jednak od zapalonego w izbie czeladnej ognia zajęły się cewie, drewniane kliny do kół młyńskich, suszone w kominie. Pożaru nie udało się ugasić, zaś młyn błyskawicznie stanął w płomieniach.

„Silny wiatr wkrótce rozniósł ogień na sąsiednie budynki przy Krupniczej oraz kilka położonych po drugiej stronie Młynówki. Na miejscu szybko pojawiła się straż pożarna oraz liczni mieszkańcy, którzy próbowali ugasić ogień lub przynajmniej uniemożliwić dalsze rozszerzanie się pożogi”.

Ciekawe informacje na temat pożaru przytaczają Tomasz Seitz i Maciej Bojarski w tekście „Rudawa i Wielki Pożar Krakowa 1850”, zamieszczonym w piśmie wodociągów miasta Krakowa „Woda i my” (nr 91, grudzień 2019 r.). Czytamy tam: „Aby przedstawić wszystkie fakty powinniśmy również uwzględnić działania austriackich władz zaborczych, a ich postawa nie była bierna. Członkowie garnizonu badali przyczyny pożaru, poszukiwali potencjalnych podpalaczy, o istnieniu których pogłoski szybko rozniósł. Pomimo że śledztwo ostatecznie wykazało, że ogień zaprószony został przypadkowo, a winnych nieumyślnego spowodowania pożaru postawiono przed sądem, do końca roku kolejne niewielkie pożary część mieszkańców miasta brała za dzieło podpalaczy”.

Puchar Narodów Afryki Na turnieju w Maroku poznaliśmy półfinalistów

ŚWIETNA SERIA BRAHIMA DIAZA

Damian Świdorski
redakcja@polskapress.pl

Najpierw Senegal i Maroko, a w sobotę Nigeryjczycy i Egipcjanie zapewnili sobie awans do półfinałów Pucharu Narodów Afryki.

Spotkania kolejnej fazy turnieju o mistrzostwo Afryki zaplanowano na 14 stycznia. W starciach o awans do wielkiego finału Senegal zmierzy się z Egiptem, natomiast Nigeria - z Marokiem.

Pierwsza połowa ćwierćfinałowego starcia Senegal z Mali obfitowała w błędy, straty i chaos po obu stronach. To jednak dzielne Lwy Terangi w 27. minucie wykorzystały gapiostwo bramkarza, a Ilman Ndiaye dobił wypłatą przez golkipera piłkę do pustej bramki.

Jeszcze przed przerwą Bissouma otrzymał drugą żółtą kartkę, co oznaczało, że Mali musiało radzić sobie przez całą drugą połowę w dziesiątkę. To także tłumaczy, dlaczego Senegal nie dał się ograć.

Pograżona w kryzysie reprezentacja Kamerunu, nie zdołała sprawić sensacji i wyrzucić na etapie ćwierćfinału gospodarzy tegorocznego Pucharu Narodów Afryki. Brahim Diaz pierwszą bramkę dla Maroka zdobył już w 26. minucie. 26-letni skrzydłowy trafił we wszystkich pięciu meczach turnieju dla swojej reprezentacji.



Piłkarz reprezentacji Maroka i Realu Madryt - Brahim Diaz rozgrywa życiowy turniej

W drugiej połowie Kamerun również nie był w stanie odpowiedzieć. Mało tego, Niepokromione Lwy nawet nie wypracowały żadnej dogodnej okazji. Światło zgasił Ismael Saibiri, który w 74. minucie przypieczętował Lwom Atlasu awans do półfinału.

Nigeria postawiła wszystko na Puchar Narodów Afryki, gdyż nie zakwalifikowała się na mundial 2026. Super Orły zmierzyły się o awans do 1/2 finału z Algierią, która akurat zagra na mundialu. Już w pierwszej połowie, Nigeria wręcz zamknęła rywali na ich połowie i próbowała trafić

do siatki, ale do przerwy, utrzymał się bezbramkowy wynik. Po zmianie stron Nigeria znów wrzuciła szybki bieg i już w 47. minucie, Victor Osimhen trafił na 1:0.

10 minut później, Osimhen przejął piłkę i podał do Akora Adamsa. Napastnik Sevilli minął bramkarza rywali i trafił do pustej siatki, ustalając wynik.

Egipt kapitalnie rozpoczął mecz z WKS. Już w 4. minucie, było 1:0, a bramkę strzelił Omar Marmoush. W 32. minucie podwyższył Rami Rabia, wykorzystując dośrodkowanie Mohameda Salaha. Iworyjczycy wal-

czyli i jeszcze przed przerwą uzyskali gola kontaktowego, gdy samobójcze trafienie zaliczył Ahmed Fatouh. Po przerwie szybki błysk pokazał Salah i Iworyjczycy byli już praktycznie bez szans. Autorem gola - jak się okazało - na otarcie łez tuż przed rozpoczęciem ostatniego kwadransu był Guel Doue.

Wyniki ćwierćfinałów Pucharu Narodów Afryki:
9 stycznia, piątek
Senegal - Mali 1:0
Kamerun - Maroko 0:2
10 stycznia, sobota
Algieria - Nigeria 0:2
Egipt - Wybrzeże Kości Słoniowej 3:2

sko naszego młodzieżowca będą współtworzyć rodacy - Jan Bednarek i Jakub Kiwior. A także mama, która nie zdecydowała się puścić nastolatka samego w daleki świat.

Przyglądając się transferowi Pietuszelewskiego, nie trzeba wcale na siłę szukać analogii do sytuacji, w której Robert Lewandowski przenosił się z Lecha do Dortmundu. Wtedy także pojawiły się przeciw głosy malkontentów, że Kolejorz nie wyciągnął finansowego maksa z transferu. Tyle że również w przypadku Jagiellonii trzeba było puścić mimo uszu - identycznie bowiem jak wówczas Kolejorz Duma Podlasia jest wyłącznie wygraną tej transakcji. I to na kilku polach. Znacznie pobiła przecież swój sprzedażowy rekord, naprawdę godnie zasilając budżet, a przy okazji zaprezentowała się jako klub do końca dbający o wychowanków. Nawet na finiszu przygody, gdy dochodzi do - twardych, pozabawionych sentymentów - negocjacji.

W zasadzie jedyne co może - nieco - martwić, to czas przeprow-

wadzki utalentowanego Oskara na Półwysep Iberyjski. Bo historia i przypadki polskich piłkarzy uczą, że to latem jest więcej czasu na wkomponowanie do nowej drużyny i aklimatyzację w nowych warunkach. Poprzednim tak utalentowanym piłkarz polskim nastolatkiem jak Pietuszelewski był bodaj Marek Saganowski, który w bardzo młodym wieku - już jako reprezentant Polski - próbował przebić się w Feyenoordzie oraz Hamburgerze SV. Niestety, wyjeżdżając jesienią (i zimą) odbił się od tych ułożonych już w momencie jego przyjazdu solidnych zagranicznych zespołów...

Pietuszelewskiemu życzyć oczywiście, aby podążył ścieżką Roberta, a nie Marka (choć „Sagan” także ostatecznie dużo osiągnął mimo zdrowotnych perypetii), nawet jeśli dziś wydaje się, że skalą talentu mocno „Lewego”... przewyższa. Bo talent to tylko jedna, oczywiście bardzo ważna, składowa sukcesu w futbolu. A pamiętać o tym powinni zwłaszcza ci najbardziej uzdolnieni zawodnicy...

Polska
Poniedziałek, 12.01.2026

Winfried Schaefer: Maroko to piłkarski raj

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Winfried Schaefer to legenda niemieckiej Bundesligi jako piłkarz i trener. 10 stycznia znany obywatel ukończył 76 lat, ale wiek nie przeszkadza mu być dyrektorem technicznym federacji Ghany.



Kamerun bez swojej największej gwiazdy - Vincenta Abo-ubakara nie zrobił furory na Pucharze Narodów Afryki w Maroku, odpadając w ćwierćfinale z gospodarzami. Niepokromione Lwy stać było na więcej?

Praca z reprezentacją Kamerunu wiąże się z problemami trenerów, niezależnie skąd są. W moich czasach, kiedy wygraliśmy Puchar Narodów Afryki, a w Pucharze Konfederacji zajęliśmy drugie miejsce, ciągle były zgrzyty z ministerstwem sportu, bo w tym kraju ma ono bardzo dużo do powiedzenia. Udało się zbudować świetną atmosferę w zespole, mieliśmy piłkarzy światowej klasy, ale w funkcjonowanie drużyny wtrącali się urzędnicy. Były ustalone premie za wyniki, awanse, a potem ich nie chcieli wypłacać, co oczywiście irytowało piłkarzy. Zamiast normalnie przygotowywać się do meczów, turniejów cały czas wybuchły jakieś afery. Podkreślam, zawodnicy nie byli niczemu winni. Przeżyłem wspaniałą przygodę z reprezentacją Kamerunu, mogę się pochwalić triumfem w Pucharze Narodów Afryki 2002, dostaliśmy się do finału Pucharu Konfederacji 2003 po drodze pokonując Brazylię. Szkoda, że nie wyszliśmy z grupy w finałach Mistrzostw Świata 2002, a na przeszkodzie stanął nam mój człowiek w niemieckiej bramce - Oli Kahn. On bronił wtedy rewelacyjnie, miał duży wpływ na to, że Niemcy dotarli do finału. My byliśmy w stanie na boiskach Korei Południowej i Japonii osiągnąć nawet strefę medalową. Dziś boli mnie, że Kamerun nie zakwalifikował się na tegoroczny mundial, a w Maroku na Pucharze Narodów Afryki nie pokazał nic specjalnego. Nie rozumiem braku w kadrze Vincenta Abo-ubakara i kilku innych ważnych postaci.

Problemem Kamerunu jest prezydent federacji Samuel Eto'o? Nie miał pan z nim kłopotów, gdy był pana podopiecznym?

Nie. Umiałem się dogadać z każdym zawodnikiem, a w Kamerunie były wtedy duże nazwiska jak Eto'o, Mboma, Song, Geremi. Nie

chcę wnikać w kameruńskie sprawy, ale każdy dobry zespół potrzebuje stabilizacji i szefa, który wie jak rozmawiać z piłkarzami. Szkoda mi Kamerunu, a jeszcze bardziej dziwi Nigeria, która ma świetny skład, lecz nie zagra na mundialu. Pamiętam jak beznadziejnie ich federacja potraktowała Bruno Labbadie, który dogadał się z działaczami w sprawie kontraktu, ale po dwóch dniach został poinformowany, że nie będzie selekcjonerem. Może też właśnie z powodu braku profesjonalizmu nieobecność Nigerii na dwóch mundialach z rządu nie jest dziełem przypadku. Wiele reprezentacji z Afryki potrzebuje lepszego zarządzania w federacjach, to na pewno spowalnia ich rozwój. Przykładem może być Maroko, które w ostatnich latach osiąga niesamowite sukcesy. Wykazuje się też jako świetny organizator wielkiej imprezy. Oni mają piękne stadiony, hotele, autostrady, szaleją na punkcie futbolu i z tak wspaniałym składem - z gwiazdami pokroju Achrafa Hakimiego, Noussaira Mazraoui czy Brahim Diaza, kolektywem z prawdziwego zdarzenia są faworytem numer jeden w Pucharze Narodów Afryki, rozgrywanym na ich terenie. Maroko to piłkarski kraj, jest w nim wszystko czego potrzeba, ale trochę za długo, od 1976 roku czekają na triumf w najważniejszej imprezie kontynentu.

Dlaczego Ghany zabrakło w tej pięknej imprezie w Maroku?

Ja zacząłem pracę w federacji Ghany już po tych nieszczęsnym kwalifikacjach. Absencja w Maroku boli, ale niedawno cieszyliśmy się z awansu na mundial w USA, Kanadzie i Meksyku. To będzie wyjątkowy turniej i mam nadzieję, że zobaczymy na nim reprezentację Polski. Żałuję, że nigdy nie wzięliście mnie na selekcjonera, choć raz nawet było blisko. Polska ma kapitalnych piłkarzy, wielkie tradycje, historię i kibiców. Nie znam obecnego trenera, ale proszę przekazać, że życzę mu wszystkiego najlepszego w marcowych barażach. Do zobaczenia na mundialu.

©©

Adam Godlewski

„Krótka piłka”



DOJRZAŁY TRANSFER OSKARA

Oskar Pietuszelewski nie został najdroższym piłkarzem sprzedanym z PKO Ekstraklasy, ale na pewno wybrał dobry kierunek - rozwoju. Na dodatek, w sprzyjającym środowisku, w którym doskonale znana jest technologia szlifowania diamentów. Zresztą w ogóle z transferowej sagi utalentowanego nastolatka z Jagiellonii na plan pierwszy przebija się (niewydany) komunikat, że wszystkie strony dealu - czyli także reprezentowany przez dyrektora sportowego Łukasza Masłowskiego klub i menedżer Mariusz Piekarski - na pierwszym miejscu stawiali dobro zawodnika i jego perspektywy, nie zaś na kasę. A to

dowód dużej dojrzałości. Wszystkich.

Portugalia uchodzi dziś za kraj najlepiej szkolący piłkarzy. Na świecie. Z kolei FC Porto jest w awangardzie tamtejszych akademii, a poza tym to klub niezwykle przyjazny Polakom. Orodzinnej atmosferze panującej u „Smoków” miałem okazję przekonać się wówczas, gdy ich barwy reprezentowali Andrzej Woźniak i Grzegorz Mielcarski, a w sztabie szkoleniowym pracował Józef Młynarczyk. Co prawda, było to już 29 lat temu, ale bywalcy Estadio do Dragao twierdzą, że rodzinny klimat przetrwał w niezmienionej formie i powinien być pomocny w harmonijnym rozwoju Oskara. Zwłaszcza że środowi-

Pierwszy w historii polski triumf w United Cup

Zbigniew Czyż

zbigniew.czyz@polskapress.pl

Reprezentacja Polski wygrała tenisowy turniej United Cup, który rozgrywany był na kortach w Australii. W finale Biało-Czerwoni pokonali Szwajcarię 2:1.

W drodze do trzeciego finału z rzędu w United Cup, Biało-Czerwoni pokonali w fazie grupowej kolejno reprezentację Niemiec i Holandii po 3:0. W ćwierćfinale i półfinale zwyciężyli po 2:1, odpowiednio, z drużyną gospodarzy Australii i kadrą Stanów Zjednoczonych.

W pierwszym meczu finału ze Szwajcarią, wiceliderka światowego rankingu Iga Świątek, która w sobotę w półfinale przegrała z Amerykanką Coco Gauff, przystąpiła do potyczki z niepokonaną w tym roku Bencic (11. WTA) niesamowicie skoncentrowana i naładowana energią. Już przy pierwszej okazji przełamała podanie Szwajcarki, a po kolejnym gemie, w którym posłała dwa asy serwisowe, wyszła na 3:0. Doświadczona rywalka, która

w tej imprezie pokonała m.in. Włoszkę Jasmine Paolini, szybko się jednak pozbięła. Polka zaczęła popełniać błędy, tenisistki co rusz się przełamywały. Ostatecznie pierwszego seta wygrała raszynianka 6:3.

Drugi set kompletnie nie wyszedł naszej reprezentantce. Gra Świątek całkiem się posypała, przegrała tę partię aż 0:6. Niestety, trzeci set był niewiele lepszy w wykonaniu podopiecznej belgijskiego trenera Wima Fissette'a. Polka dopiero w drugim gemie rozstrzygającej partii otrząsnęła się z letargu, zaczęła grać skuteczniej, z większą wiarą. Szwajcarka nie zdobywała kolejnych punktów już tak łatwo, jak przez wcześniejsze pół godziny spotkania. Nieco lepsza dyspozycja Świątek nie miała jednak przełożenia na tablicy wyników. Grająca z ogromną pewnością siebie i spokojem Bencic w piątym gemie po raz kolejny zdobyła przełamanie i odskoczyła na 4:1. Przy stanie 2:5 24-latkę z Raszyńską asami serwisowymi (sześć w całym pojedynku) obroniła dwa meczebole, ale w kolejnym gemie Szwajcarka już dopięła swego i po 133 mi-



FOT. PAP/EPRA

Reprezentacja Polski po raz pierwszy w historii wygrała tenisowy turniej United Cup

nutach gry zapewniła swojemu zespołowi cenny punkt, wygrywając trzecią partię 6:3, a Helweci objęli prowadzenie w meczu 1:0.

Aby Polacy mieli szansę na końcowy triumf, swojego meczu nie mógł przegrać Hubert Hurkacz, który wyszedł na kort tuż po Idzie Świątek. Ry-

walem naszego tenisisty (83. ATP), który w świetnym stylu wrócił do gry po siedmiu miesiącach przerwy z powodu kontuzji był zajmujący 156. miejsce w zestawieniu czterdziestoletni Stan Wawrinka.

Pierwszy set początkowo był wyrównany, 40-letni Szwajcar nie ustępował 12 lat

młodszemu Polakowi siłą i szybkością. Kluczowym momentem premierowej odsłony był czwarty gem, w którym Wrocławianin wykorzystał czwartego break pointa i przełamał rywala. Ostatecznie tę partię wygrał 6:3. W drugim secie role się odwróciły. Wawrinka od początku utrzymywał

podanie bez straty punktu. Hurkacz miał problemy z bek-hendem, a Szwajcar pewnie wygrał seta 6:3 i zrobiło się 1:1. W decydującej partii, Hurkacz udowodnił, że jego dobre występy na początku roku nie były dziełem przypadku. Zaczął grać bardziej pewnie i agresywnie, co przełożyło się na korzystny wynik. Hurkacz zwyciężył 6:3, dzięki czemu Polska doprowadziła do wyrównania 1:1.

O zwycięstwie w całym turnieju decydował pojedynek mikstów, w którym polski zespół reprezentowali Katarzyna Kawa i Jan Zieliński. Po drugiej stronie siatki stanęli Belinda Bencic i Jakub Paul. Pierwszego seta Polacy wygrali 6:4. W drugim kontrolowali w pełni wydarzenia na korcie, zwyciężając 6:3, a cały mecz po godzinie i 16 minutach 2:0. Dzięki wygranej Polacy pokonali w całym meczu Szwajcarów 2:1 i po raz pierwszy w historii triumfowali w całej imprezie.

United Cup był sprawdzianem przed wielkoszlemowym Australian Open, który rozpoczyna się 18 stycznia. Pula nagród w turnieju wyniosła ponad 11 milionów dolarów. ©

Ligi zagraniczne. Tym razem Polacy bez błysku. Zalewski nie wykorzystał setki

Damian Świderski

redakcja@polskapress.pl

Drugi weekend 2026 roku nie przyniósł wielu udanych momentów polskim piłkarzom w europejskich ligach TOP 5.

ANGLIA

W Anglii nie grano w Premier League, tylko w FA Cup i wystąpił tylko jeden Polak. Był nim Matty Cash. Jego Aston Villa zmierzyła się z Tottenhamem. „The Villans” prowadziła 2:0 do przerwy i była klubem wyraźnie lepszym. Finalnie wygrała 2:1. Matty zaliczył 79 minut i był jednym z najlepszych graczy meczu. W innych spotkaniach Manchester City rozgromił Exeter aż 10:1, a Chelsea wygrała z Charlton 5:1.

Największą sensacją była wygrana 6-ligowca Macclesfield z National League z obrońcą trofeum, Crystal Palace 2:1. Trenerem Macclesfield, nazywanych „The Silkmen” jest John Rooney, młodszy brat angielskiej legendy, Wayne'a - byłego gracza Evertonu oraz Manchesteru United i byłego najlepszego strzelca reprezentacji Anglii.

Zrozgrywkami pożegnały się też drużyny: Bournemouth, Evertonu czy Watfordu. Wysokie wygrane zaliczyły natomiast mające problemy z punktowa-

niem w tym sezonie, Wolverhampton i Burnley.

FA CUP

Wybrane wyniki 1/32 finału: Cheltenham-Leicester 0:2, Everton-Sunderland 1:1 - rzuty karne 0:3, Macclesfield-Crystal Palace 2:1, Wolves-Shrewsbury 6:1, Boreham Wood-Burton 0:5, Burnley-Millwall 5:1, Doncaster-Southampton 2:3, Fulham-Middlesbrough 3:1, Ipswich-Blackpool 2:1, Manchester City-Exeter 10:1, Newcastle-Bournemouth 3:3 - rzuty karne 7:6, Sheffield Wed.-Brentford 0:2, Stoke-Coventry 1:0, Bristol City-Watford 5:1, Cambridge Utd-Birmingham 2:3, Grimsby-Weston-super-Mare 3:2, Tottenham-Aston Villa 1:2, Charlton-Chelsea 1:5.

WŁOCHY

AS Roma wygrała kolejny mecz w Serie A. „Giallorossi” nie dali szans Sassuolo i wygrali 2:0. Był to polski mecz, bo wystąpił Jan Ziółkowski, który tym razem, podniósł się z ławki rezerwowych, a także Sebastian Walukiewicz - w barwach Sassuolo zagrał cały mecz. Bramkę na 1:0, strzelił Manu Kone w 76. minucie, a w 79. minucie, na 2:0, trafił Matias Soule.

W 87. minucie, na murawie pojawił się Ziółkowski, który zastąpił Hermoso. Niestety, nie był to jego udany mecz, gdyż żadne z 3 podań nie było celne. Walukiewicz na murawie był od początku, ale dostał notę 5,9. Czyli niską. Udinese zremisowało



FOT. ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS

Nicola Zalewski nie zapisał się w protokole meczowym, ale trener Jan Urban nie powinien narzekać na jego formę

z Pisą 2:2. W 56. minucie, na murawie pojawił się Jakub Piotrowski. Nie było to jakiś spektakularny występ pomocnika, ale obyło się bez tragedii. Został oceniony na 6,5. Z kolei Atalanta wygrała z Torino 2:0. W pierwszym składzie drużyny z Bergamo wyszedł na plac gry Nicola Zalewski. 23-latek miał szansę na strzelenie bramki, ale przegrał w sytuacji sam na sam z bramkarzem rywala. Finalnie został jednak

oceniony na 7,8, czyli dobrze. Na murawie spędził 79 minut.

SERIE A

Wyniki 20. kolejki: Udinese-Pisa 2:2, Atalanta-Torino 2:0, Roma-Sassuolo 2:0, Como-Bologna 1:1.

FRANCJA

W lidze francuskiej nie grano żadnego meczu, weekendowy termin został przeznaczony na 1/32 finału Pucharu Francji.

Niestety - bez Polaków. Maxi Oyedele jest ciężko kontuzjowany i koncentruje się na rehabilitacji. Tymczasem jego kole-dzy ze Strasbourga wygrali z Avranches aż 6:0.

Z drużyn występujących we francuskiej ekstraklasie, w sobotę zaprezentował się zespół Lorient, który pewnie poradził sobie (3:1) z Hauts Lyonnais. Monaco także bez większego problemu uporało się z Orleans. Znacznie więcej emocji kibice doświadczyli w starciu Angers z Toulouse, gdzie sprawę awansu rozstrzygnęły rzuty karne. W serii jedenastek lepsza okazała się drużyna z Тулуzy.

PUCCHAR FRANCJI

Ciekawsze wyniki 1/16 finału: Avranches-Strasbourg 0:6, Hauts Lyonnais-Lorient 1:3, Istres-Stade Lavallois 0:2, Le Puy-en-Velay-Reims 0:0 - rzuty karne 0:3, Angers-Toulouse 1:1 - rzuty karne 5:6, Bastia-Troyes 0:2, Orleans-Monaco 1:3, Montreuil-Amiens 2:4.

NIEMCY

W Niemczech zaprezentował się Jakub Kamiński. 23-latek był aktywny i oddał cztery celne strzały. Jednak nie zaliczył nawet asysty.

Jego FC Koeln sprawiło nie-małą sensację, bo tylko zremisowało z walczącym o utrzy-

manie Heidenheim 2:2. Kamiński - po 90 minutach na boisku - został oceniony na notę 7 (w skali do 10).

W innym meczu ostatnie w tabeli FSV Mainz zremisowało z Unionem Berlin 2:2. Cały mecz na ławce Mainz przesiadział Kapcer Potulski, który przestał dostawać minuty od trenera. Klęskę poniósł Bayer Leverkusen.

BUNDESLIGA

Wyniki 16. kolejki Bundesligi: Heidenheim-Koeln 2:2, Freiburg-HSV 2:1, Union-Mainz 2:2, Bayer-Stuttgart 1:4.

HISZPANIA

W lidze hiszpańskiej w miniony weekend w La Liga nie zagraли potentaci z Realu Madryt oraz Barcelony. Mieli jednak solidne usprawiedliwienie.

Hiszpańscy giganci zmierzili się bowiem w kolejnym w tym sezonie El Clasico - w Arabii Saudyjskiej, gdzie w niedzielny późny wieczór zaplanowano finał Supercuparu Hiszpanii. Spotkanie zostało rozegrane po zamknięciu tego wydania.

LA LIGA

Wyniki 19. kolejki La Liga: Real Oviedo-Betis 1:1, Villarreal-Alaves 3:1, Girona-Osasuna 1:0, Valencia-Elche 1:1.

Magia Zakopanego działa. Sukces był potrzebny

Artur Bogacki

artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. Jest pierwsze podium dla Polski w Pucharze Świata w tym sezonie. W sobotnim konkursie duetów w Zakopanem 3. miejsce zajęli Kacper Tomasiak i Dawid Kubacki.

Można się czepiać, że obsada nie była najmocniejsza (na Wielkiej Krokwi zabrakło m.in. czołowych Japończyków i Niemców, a także Austriaków, ale u nich akurat jest „kłopot bogactwa”, Słowenci dali odpocząć liderowi PS Domenowi Prevcowi). Trzymajmy się jednak opcji, że zadziałała magia Zakopanego. Wynik idzie w świat, a taki sukces naszej kadrze, na niespełna miesiąc przed igrzyskami, może dodać skrzydeł. Zwłaszcza że nie było to podium podane na tacy, trzeba było o nie walczyć do samego końca. A w kluczowym momencie wykazać się odpornością psychiczną.

Inie dotyczy to tylko zamykającego zawody rewelacyjnym skokiem Tomasiaka (136,5 m). Na Kubackim presja była może nawet większa, bo na jego miej-

scu kibice widzieli kogoś innego - Maciej Kota lub Kamila Stocha (dla niego w weekend to ostatnie w karierze występy w Zakopanem), którzy ostatnio mieli lepsze osiągnięcia. Trener Maciej Maciusiak argumentował później, że Kubacki w sobotę wcześniejsze skoki (trening i kwalifikacje indywidualne) miał lepsze od kolegów, a wybór miał być sprawiedliwy. Niezależnie od okoliczności - wynikowo ta decyzja w pełni się obroniła.

Już po pierwszej z trzech serii rywalizacji duetów (w terminologii FIS - super team) można było przypuszczać, że będzie to ciekawy konkurs. Polska zajmowała 5. miejsce, czyli na miarę potencjału. Tyle że przed nami były ekipy, od których teoretycznie jesteśmy lepsi: 3. miejsce zajmowała Szwajcaria, 4. Ukraina. Druga była Słowenia, a daleko z przodu - Austria.

Drugi skok Kubackiego był nawet lepszy niż pierwszy i jeszcze bardziej można było mieć nadzieję na podium. Zwłaszcza że rozkręcał się Tomasiak. Po całej drugiej serii Polska była 3., z realną szansą na powalczenie z 2. Słowenią (Austria była poza zasięgiem, ostatecznie efektywnie



Polska ekipa skoczków narciarskich doczekała się sukcesu w Pucharze Świata

wygrała), ale z oddechem innych drużyn na plecach - tylko 0,2 pkt przed Norwegią.

Do końca było ciekawie. Trzeci skok Kubackiemu nie wyszedł tak dobrze jak Kristofforowi Ekriksenowi Sundalowi i ekipa ze Skandynawii zastąpiła nas na 3. miejscu (6,2 pkt różnicy). Wszystko zależało do To-

masiaka. 19-latek wykazał się nerwami ze stali, pofrunął na 136,5 m.

Pozostało czekać, co zrobią najwięksi rywale. Słowenci nie zaprzepaścili szansy na 2. miejsce. A swoją zamarowali Norwegowie, bo po skoku Halvora Egnera Graneruda skończyli zawody na 4. pozycji.

nie wszystko było idealne. - Zwłaszcza kwalifikacyjny skok zepsułem (przed konkursem duetów - przyp.). Ten w pierwszej serii konkursowej był jeszcze nie najlepszy, a te dwa ostatnie bardzo dobre. Na początku tej stabilności brakowało, ale później się znalazła.

To pierwszy zimowy sukces naszych skoczków pod wodzą Maciusiaka. - To jest taka nagroda dla zawodników i sztabu, przy tej publiczności w Zakopanem. Bo wszyscy ciężko pracują każdego dnia, żeby odnosić sukcesy, a różnie z tym bywa. To cieszy, ale musimy być czujni, dużo pracy przed nami. Są inne cele: mistrzostwa świata (w lotach - przyp.), szczególnie igrzyska olimpijskie. Musimy jeszcze się pozbierać, ale to na pewno było wszystkim potrzebne - przyznał szkoleniowiec.

Niedzielnym konkursem indywidualnym w Zakopanem, z udziałem piątki Polaków, zakończył się po zamknięciu wydania.

Wyniki: 1. Austria 805,9 (Jan Hoerl 411,1, Stephan Embacher 394,8), 2. Słowenia 758,3 (Timi Zajc 342,8, Anze Lanisek 416,5), 3. Polska 741,8 (Dawid Kubacki 344,1, Kacper Tomasiak 397,7), 4. Norwegia 734,7, 5. Szwajcaria 729,5. © P

To ostatnia niedziela. U stóp polskich Tatr. Kamil Stoch żegna się z polskimi kibicami

Paweł Wiśniewski

redakcja@polskapress.pl

Dla Kamila Stocha, weekendowe zawody Pucharu Świata w Zakopanem były ostatnim występem przed polską publicznością. 38-latek na Wielkiej Krokwi triumfował pięciokrotnie.

Pierwszy raz Kamil Stoch wygrał w sezonie 2010/2011 i było to jego premierowe z 39 zwycięstw w Pucharze Świata.

Było to zresztą zwycięstwo symboliczne, odniesione w ten sam dzień, gdy po raz ostatni w PS w Zakopanem skakał Adam Małysz.

Pięć razy pod Tatrami wygrywał jeszcze tylko słynny Austriak Gregor Schlierenzauer.

Wbrew oczekiwaniom kibiców, w tegorocznym konkursie duetów, zabrakło Kamila.

- Wybór nie był prosty i długo się nad nim zastanawialiśmy. Dla mnie była to naprawdę trudna decyzja, bo doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że wszyscy liczyli na start Kamila. Wiemy, jak wiele zrobił dla tego miejsca przez wszystkie te lata. Z drugiej strony chcieliśmy być po prostu sprawiedliwi wobec całej drużyny - mówił selekcjoner reprezentacji Polski Maciej Maciusiak.



Dla Kamila Stocha był to wyjątkowy weekend. Po raz ostatni w karierze skakał na Wielkiej Krokwi



Kacper Tomasiak i Dawid Kubacki zajęli trzecie miejsce w konkursie duetów w Pucharze Świata w Zakopanem



Jak zwykle, kibice licznie przybyli dopingować skoczków narciarskich na obiekcie im. Stanisława Marusarza w Zakopanem. Zjechali z całej Polski i nie zawiedli się



Nie zabrakło również skoczków ukraińskich



W Zakopanem Kamil Stoch nie mógł się opędzić od dziennikarzy. Tytuł wywiadów dawno już nie udzielił

Łyżwiarstwo szybkie Worek medali w Tomaszowie Mazowieckim STRESUJĄCY TEN NASZ HYMN

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

- Dopiero rozkręcamy się z formą - stwierdził Damian Żurek po wygraniu wyścigu na dystansie 1000 metrów na mistrzostwach Europy w łyżwiarstwie szybkim, które gościły w Tomaszowie Maz.

Jako pierwsze, powody do radości dały nam jednak w „Arenie Lodowej” sprinterki. Drużyna w składzie: Kaja Ziomek-Nogal, Karolina Bosiek i Martyna Baran, okazała się bezkonkurencyjna (1:27.07), wyprzedzając Belgijkę i Niemkę.

Z powodu upadku, wyścigu nie ukończyły broniące tytułu Holenderki.

Była to premierowa konkurencja mistrzostw Europy, które po raz pierwszy organizowała Polska.

Wciąż w świetnej formie znajduje się wspomniany Damian Żurek. 26-letni panczenista Pilicy Tomaszów Mazowiecki, triumfował na 1000 metrów, potwierdzając bardzo dobrą dyspozycję w sezonie olimpijskim.

Najlepszy polski sprinter w swoim rodzinnym mieście zwyciężył czasem 1:08.55, o 0.8 sekundy lepszym od Holendra Tima Prinsa. Trzeci był Estończyk Marten Liiv - 1:09.61.

- Jestem jednocześnie zmęczony i szczęśliwy - przyznał Żurek. - Spełniłem swoje marzenie z dzieciństwa. Cieszę się, że



FOT. PAP/PIOTR POLAK

W ubiegłym roku, 23-letni Władimir Semirunnij odebrał polskie obywatelstwo

przed polską publicznością pokazałem się z najlepszej strony. Na trybunach była cała moja rodzina, znajomi i słyszałem ich doping, który pchał mnie do przodu. Technicznie i taktycznie poszedłem tak, jak chciałem, czyli od samego początku bardzo mocno. Jestem zawodnikiem, który otwiera bardzo szybko i dojeżdżam do mety resztkami sił. Mocny początek wystarczył jednak do wywalczenia tytułu.

Po ostatnich wyczynach, urodzony w Jekaterynburgu, ale z polskim paszportem Władimir

Semirunnij wydaje się być pewniakiem do olimpijskiego medalu.

W Tomaszowie, najlepszy specjalista od długich dystansów spośród reprezentantów Polski, ponownie dał popis. Na 5000 metrów zwyciężył z nowym rekordem toru - 6:11.13. Drugi Włoch Riccardo Lorello stracił do Semirunnija ponad 3,3 sekundy. Trzeci był jego rodak Davide Ghiotto - 6:17.00.

Na XXV Zimowych Igrzyskach Olimpijskich, które rozpoczynają się 6 lutego, 23-letni Wła-

dimir będzie ścigał się tylko na 10 000 metrów.

Po wywalczeniu tytułu mistrza Europy przyznał, że bardziej niż samym startem stresował się śpiewaniem... polskiego hymnu. Żałował, że nie udało mu się poprawić należącego do niego rekordu Polski, który w listopadzie ubiegłego roku ustanowił w Calgary (6:09.18).

- Na początku jechałem blisko tamtego wyniku, ale to jest jednak Tomaszów i ciężki lód, więc nieco straciłem w drugiej części biegu - przekonywał. ©

Tym razem poza podium. Polskie deski mają się nieźle

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

W kolejnych zawodach Pucharu Świata w snowboardzie, który odbył się w bawarskiej miejscowości Scuol, Aleksandra Król-Walas zajęła 8. miejsce w slalomie gigantycznym równoległym.

W rywalizacji kobiet wygrała Niemka Ramona Theresia Hofmeister, a wśród mężczyzn najlepszy był Włoch Roland Fischnaller.

W 1/8 finału, Aleksandra Król-Walas pokonała Włoszkę Jasmin Coratti o 0,11 sekundy, natomiast odpadła w ćwierćfinale po porażce z późniejszą triumfatorką, która była od niej szybsza o 0,39 sekundy.

Ostatecznie została sklasyfikowana na 8. miejscu.

W 1/8 finału, odpadła Olimpia Kwiatkowska, po przegranej



FOT. PAP/EPRA

W 1/8 finału Aleksandra Król-Walas pokonała Włoszkę, odpadła w ćwierćfinale po porażce z triumfatorką imprezy

z Holenderką Michelle Dekker o 0,56 sekundy. Polka uplasowała się na 15. pozycji.

W finale Ramona Theresia Hofmeister wygrała z Włoszką Elisą Caffont o 0,55 sekundy. Trzecie miejsce zajęła inna Niemka - Melanie Hochreiter

po tym, jak z rywalizacji przed półfinałem wycofała się Austriaczka Sabine Payer.

Niestety, kwalifikacji nie przebrnęła 29. Maria Bukowska-Chyc.

W klasyfikacji generalnej prowadzi Payer - 382 punkty.

Aleksandra Król-Walas jest dziesiąta - 162 punkty, Kwiatkowska - trzydziesta pierwsza (32 pkt.), a Bukowska-Chys - trzydziesta druga (27 pkt.).

Przypomnijmy, że trzy tygodnie temu, Król-Walas zajęła drugie miejsce w slalomie gigantycznym równoległym Pucharu Świata we włoskiej Carezzie.

Finał mężczyzn, Włoch Roland Fischnaller wygrał ze swoim rodakiem Mirko Felicet-tim o 0,16 sekundy. Trzeci był Słoweńiec Tim Mastnak, zwyciężając o 0,08 sekundy z Bułgarem Radosławem Jankowem.

W kwalifikacjach odpadli - 37. Michał Nowaczyk i 38. Oskar Kwiatkowski. Przejazdu nie ukończył Andrzej Gąsienica-Daniel.

Liderem klasyfikacji generalnej Pucharu Świata jest Włoch Aaron March - 359 punktów. Kwiatkowski jest dwudziesty czwarty - 64. ©

Klaudia Zwolińska sportowcem 2025 roku

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Klaudia Zwolińska została najlepszym sportowcem Polski 2025 roku. Kajakarka góraska triumfowała w 91. edycji plebiscytu „Przeglądu Sportowego”.

W czołowej trójce znaleźli się także tenisistka Iga Świątek i siatkarz Wilfredo Leon. Zwolińska przeszła do historii swojej dyscypliny, zdobywając w mistrzostwach świata w Penrith medale we wszystkich trzech konkurencjach, dwa złote i jeden brązowy.

- Absolutnie nie spodziewałam się tego zwycięstwa, jestem w szoku. Marzyłam, aby być w pierwszej trójce - powiedziała w rozmowie z Polska Press Klaudia Zwolińska.

Czwarte miejsce zajęła sześciokrotny mistrz świata w jeździe na żuźlu Bartosz Zmarzlik, a piąte Robert Kubica. Na kolejnych pozycjach uplasowali się, wicemistrzynie świata w skoku wzwyż Maria Żodzik, Robert Lewandowski, koszykarz Mateusz Ponitka, mistrzyni świata we wspinaczce Aleksandra Mirosław, a czołową „dziesiątkę” zamknął kierowca rajdowy Miłkołaj Marczyk.

MŚ w przełajach

Jacob Kiplimo z Ugandy zdobył trzeci z rzędu tytuł mistrza świata w biegach przełajowych, które odbyły się w Tallahassee na Florydzie. Wśród kobiet na dystansie 10 km triumfowała Kenijka Agnes Jebet Ngetich. Sztafetę mieszaną zwyciężyła reprezentacja Australii. Polacy nie startowali.

MP w kolarstwie przełajowym

Za nami 89. Mistrzostwa Polski w kolarstwie przełajowym.



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Klaudia Zwolińska wygrała plebiscyt „Przeglądu Sportowego” na Najlepszego Polskiego Sportowca 2025

wym. Do Elku zjechała elita tej dyscypliny sportu, a także młodzież i amatorzy. W kategorii Masters wśród kobiet wygrała Alicja Marciniak. Druga była Kinga Skrzypczak, a trzecia Magdalena Bruzgo. Wśród mężczyzn w kategorii Masters najlepszy okazał się Jakub Dec. Srebrny medal zdobył Michał Konradowski, brązowy Jan Grzempa.

Polacy daleko

Jan Guńka zajął 15. miejsce w biegu pościgowym na 12,5 km w Pucharze Świata w niemieckim Oberhofie. Zwyciężył Włoch Tommaso Giacomel. W sprincie kobiet na 7,5 km najlepsza z Polek Anna Nędzia-Kubiniec była 26. Triumfowała Francuzka Paula Botet. W rywalizacji sztafet męskich 4x7,5 km Polacy zajęli 10. pozycję, zwyciężyli Norwegowie. W sztafecie kobiet na 4x6 km Białe-Czerwone uplasowały się na 9. miejscu, wygrały Francuzki.

Białe-Czerwoni szykują się do Euro

Reprezentacja Polski piłkarzy ręcznych przygotowuje się do mistrzostw Europy, które w dniach od 15 stycznia do 1 lutego rozegrane zostaną na parkietach w Szwecji, Danii i Norwegii. Polacy trafili do Grupy F razem z Węgrami, Islandią i Włochami. Mecze naszej kadry odbędą się kolejno, 16 stycznia (godz. 20.30), 18 stycznia (godz. 18.00) oraz 20 stycznia (godz. 18.00), wszystkie w szwedzkim Kristianstad. Przed turniejem podopieczni trenera Joty Gonzaleza nie rozgrywają oficjalnych meczów towarzyskich. W nieoficjalnym spotkaniu kontrolnym, które w sobotę rozegrano w Cetniewie, Białe-Czerwoni pokonali Serbię 33:32 (18:18). ©

MAGAZYN

SPORTOWY24

12.01.2026

**Reprezentacja Polski w tenisie - wreszcie, w trzecim podejściu
- wygrała finał rozgrywek otwierających sezon w Australii STR. 21**



FOT. PAP/EP

Polacy najlepsi w United Cup!

**MEDALOWE ŻNIWA
NASZYCH ŁYŻWIARZY
W MISTRZOSTWACH
EUROPY
STR. 23**

**Kibice w Zakopanem
doczekali się podium
w PŚ w skokach
narciarskich
STR. 22**

**Senegal, Maroko,
Nigeria i Egipt
w półfinale Pucharu
Narodów Afryki
STR. 20**

SPORTOWY24.PL